Nr. 45 (430). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 5 listopada 1932. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX.

NR-45

ŚWIATOWID

WIELKI SUKCES ARTYSTKI WARSZAWSKIEJ.



W kapitalnej sztuce Aleksego Tołstoja „Car Iwan Groźny", którą gra obecnie z ogromnem powodzeniem Teatr Narodowy w Warszawie, święci triumfy młodziutka artystka p. Lili Zielińska, odtwarzająca rolę córki cara.

Zaduszki na pobojowiskach.

Krzyże na zapadniętych grobach żołnierzy, poległych w Karpatach, w czasie wojny światowej, Fot. E. Olszaniecki, Lwów.

Chylą się krzyże na Szpyci, zginają ramiona pod ciężarem niedoli, pragną spoczynku na twardem, kamienistem łożu. Zmogły je walki z deszczową wichurą i śniegiem. Chylą więc kornie pomarszczone, chropowate czoła, szepcząc: „Już czas na nas, już czas".

Zapada noc. Mrok potworną łapą ogarnia świat. W dali sinieje Howerla, z drugiej strony zasnuty w kołpaku mgieł Pop Iwan, a bliżej dziwaczne, poszarpane grzebienie Kizich Ułohów rysują się w półcieniu.

W zapomniane rocznice, jakieś powracające fale czasu budzą poległych i niepokoją świat duchów.

W noc głuchą i ciemną pada hasło. Zrywa się wichura i gna kłęby chmur nad urwiska i zawrotne przepaście, a kiedy nadejdzie wieczór, kiedy na dalekich cmentarzach, na zapadniętych mogiłach zabłyśnie światło w dzień Umarłych — podnoszą się z karpackich mogił ludzie-szkielety w potarganych kulami szynelach, w pokrwawionej, szarej, żołnierskiej odzieży...

Snują się cienie poległych, ze straszliwemi piętnami ran, pytając: „Czy to już czas bracia, czy to już dzień Zmartwychwstania?"

Snują się tak, od krzyża do krzyża, błądzą bez celu nad przepastnymi zrębami, nieczułe na wiatr i chłód, wtulają się w puchy mgieł. Pędzone tęsknotą za wyzwoleniem, schodzą w doliny, krążą po polach i lasach, a dziki zwierz, dziwnym instynktem odczuwając obecność niesamowitych istot, umyka w popłochu.

Na nieboskłonie migoce światło dalekich gwiazd, lodowate i zimne tchnieniem Mądrości Wiecznej i Nieprzemijającej.

Gwiazdy, to Oczy Mądrości. Oczy, które bez drgnienia, bezlitosne aż do okrucieństwa, patrzały na ziemię spowitą w pożogach wojny, na ból ludzki, na strugi łez i krwi, na ciała w męce wijące się na głazach, zimnych, bezdusznych, a tak rozumnych w swoim bezwładzie i posłuszeństwie.

Kruszeją zasieki z drutów kolczastych, walą się kamienne schrony, już dawno znikły krwawe plamy na kamienistej ziemi, i tylko sznur białych słupków granicznych uwieńczył dzieło Synów tej Ziemi, co świętość związali ze słowem „Ojczyzna".

A Oczy Mądrości, wieczyście te same, patrzą bezustannie na kulę ziemską...

Biada samotnym podróżnym, co w taką noc duchów błądzą po górach. Głuche masywy ze straszliwą obojętnością, zdają się nie dostrzegać drobnych postaci ludzkich, wtulonych w ich zbocza. Strwożony wzrok człowieka, wznosi się ku górze, ku niebu, tam szukając oparcia. Zmrożony lodowatem tchnieniem gwiazd, z większą trwogą powraca na ziemię.

W poświstach wichru jakieś głosy i płacze skarżą się komuś na krzywdę, na ból.

Dopiero świt poranny, nadciągający od wschodu ponad niziny, ponad rzeki, ponad góry, niby Chrystus błogosławi tej ziemi, kojąc bóle i tęsknoty. Mary wracają do swoich grobów. Pryska czar złego. Ziemia swobodniej oddycha. I tylko smutek bezbrzeżny, szary, spowija bladym całunem ten świat.

Edward Biłobran, Lwów.

Zasieki z drutu kolczastego, pozostałości karpackich bojów, gdzie popłynęła także krew Legjonistów. Fot. Edward Olszaniecki, Lwów.

WYSTAWA JUBILEUSZOWA VLASTIMILA HOFMANNA W KRAKOWIE.



„DZIEWCZYNKI“ — obraz Vlastimila Hofmanna.

Wielkiem powodzeniem cieszy się wystawa, urządzona w krakowskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, z racji 30-letniej działalności artystycznej znanego artysty-malarza, Vlastimila Hofmanna.

Jubilat urodził się w Karlinie w Czechosłowacji; jako 6-letni chłopak przyjechał z rodzicami do Krakowa i tu już został na stałe, zżył się zupełnie z nowem środowiskiem i stał się niemal dzieckiem podwawelskiego grodu, wchłaniając w swą duszę wrażliwą jego wielkie tradycje.

Kształcił się Hofmann w krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych i ukończył ją w 1902 r., uczęszczając na kurs prof. Wyczółkowskiego. Ten genjalny jednak inpresjonista wywoływał tylko minimalny wpływ na twórczość Hofmanna, nad którym zaciążyła, całą swoją mocą, potężna indywidualność Jacka Malczewskiego. Aż dziw, że ten wielki mistrz, ostatni symbolista i romantyk malarski, nie pozostawił żadnej szkoły, któraby kontynuowała jego kierunek. Właściwie bowiem jedynym uczniem Malczewkiego jest tylko Hofmann. Rozumiał to Malczewski i dlatego na łożu śmierci ofiarował swoją paletę Hofmannowi, dając w ten sposób do zrozumienia, że tylko on jeden z malarzy zrozumiał istotę jego sztuki.

Patrząc na płótna, skupione na wystawie krakowskiej, widzi się, że skala zainteresowań Hofmanna w ostatnich czasach rozszerzyła się. Dotychczas malował on tylko świątki, portrety, starców i różne symboliczne figury, obecnie zaś przeszedł do tematów sportowych, jakby w ten sposób oddając pokłon współczesności. Krok to bardzo rozsądny, ponieważ malarze dzisiejsi robią wrażenie, jakby się odwrócili od tego wszystkiego, co ich otacza i co jest treścią bieżącej chwili, co nadaje jej piękno i co widza może emocjonować. Pomimo bowiem, że na świecie zmieniło się wszystko do góry nogami, sztuka sztalugowa trzyma się kurczowo dawnych wyświechtanych tematów i raczy nas ciągle martwemi naturami, ze śledziem i pomidorem i akademickiemi aktami, oraz bukietami i wazonami kwiatów i dlatego w pałacach sztuki panuje taka atmosfera nudy.



Vlastimil Hofmann, znakomity artysta malarz, obchodzi jubileusz 30 - letniej działalności artystycznej.

A chciałoby się na obrazie, zamiast zawodowej modelki, pozującej przed kotarą, widzieć ciało młodej dziewczyny na finiszu stumetrówki, albo jakąś Weissówne, rzucającą dyskiem, czy wreszcie innych lekkoatletów i sportowców na bieżni, na boisku i w pływalni.

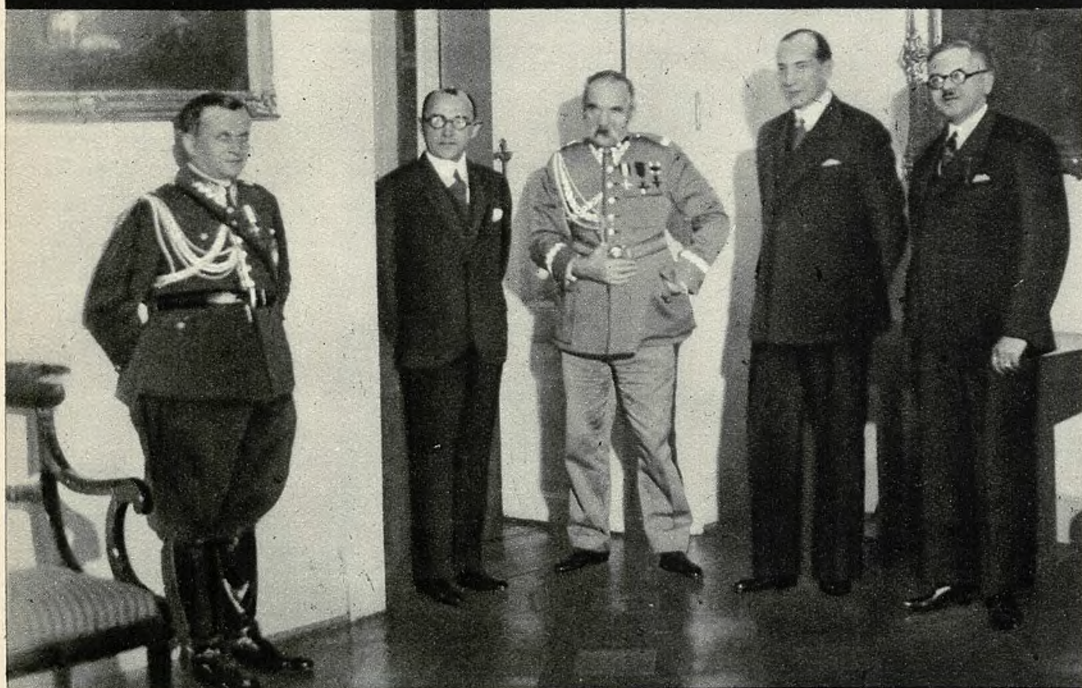
Czy także lotnicy i automobiliści nie zasługują na to, aby ich malować? Odpowie ktoś, że istotą malarstwa jest forma, a nie anegdota. Bardzo to słusznie, ale tak, jak nie da się pisać poezji, czy powieści bełkoczących i pozbawionych sensu i treści, tak samo każda sztuka musi być zwierciadłem rzeczywistości.

Ale wracając do Hofmanna! Utarł się zwyczaj, że na jubileuszach zasiada się do stołu w odświętnych ubraniach, zalatujących mocno naftaliną i wygłasza napuszone oracje, które bardzo przypominają mowy pogrzebowe. Nie chcę, aby i ten mój artykulik czuć było naftaliną, bo Hofmann pomimo swojego jubileuszu, jest jeszcze ciągle młody i dopiero właściwie najtęższy okres swojej twórczości zaczyna.

Dlatego gratuluję i czekam następnej wystawy...

Jan Lankau.

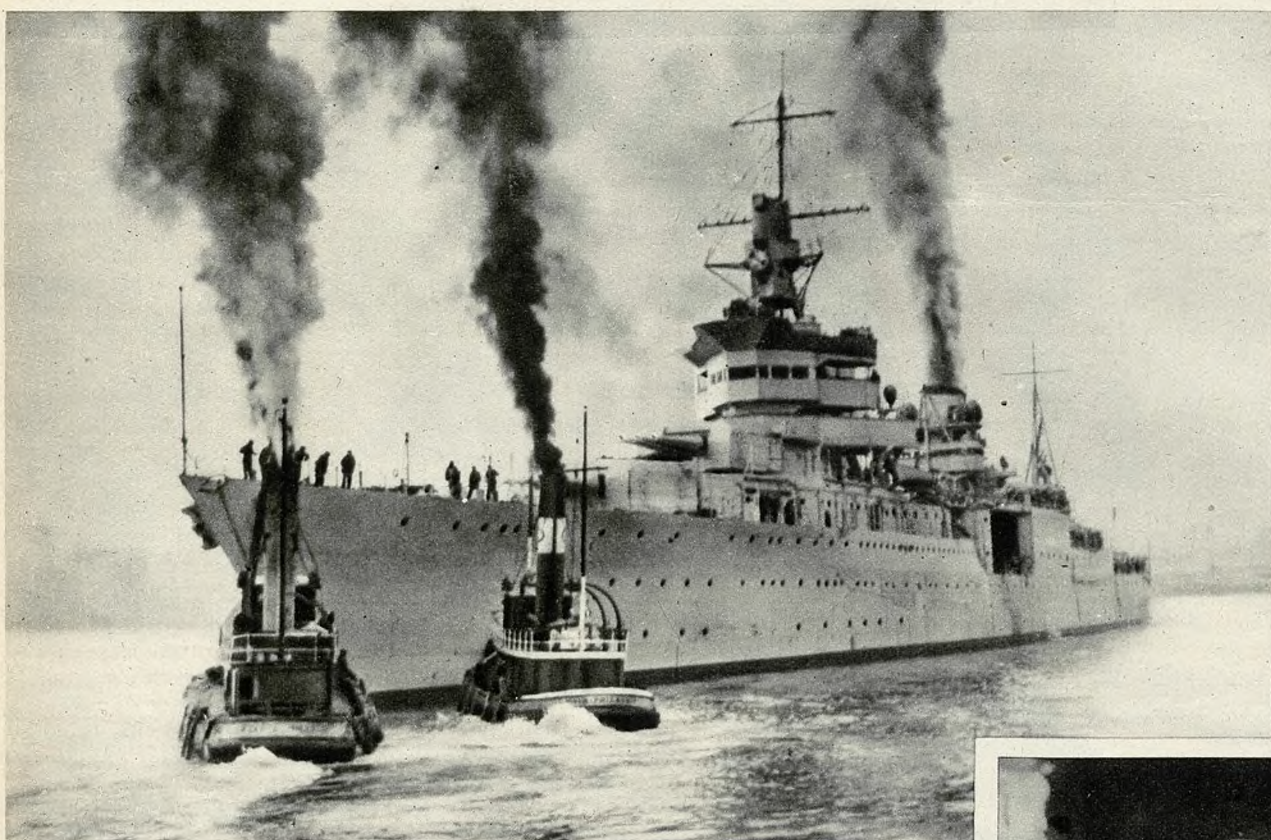
ECHA TYGODNIA.



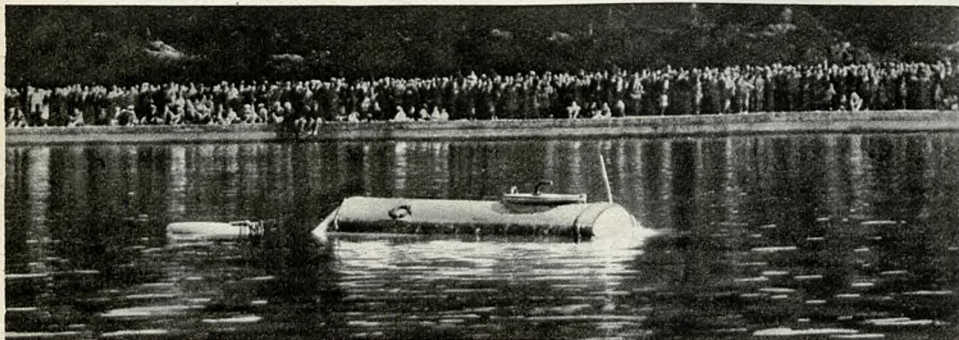
KOMISARZ LIGI NARODÓW W GDAŃSKU U P. MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO. Na opróżnione przez śmierć śp. Markiza Graviny stanowisko Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w wolnem mieście Gdańsku, które szczególnie w obecnej chwili ma bardzo ważne znaczenie nietylko dla stosunków polsko-gdańskich, ale i dla całej polityki międzynarodowej, powołany został — na razie tymczasowo — Duńczyk p. Helmar Rosting. W tych dniach bawił on w Warszawie, by złożyć oficjalne wizyty. — W Belwederze przedstawił się p. Marszałkowi Piłsudskiemu, do którego przybył w towarzystwie wicemin. spraw zagr. p. Becka. Nasz fotograf uchwycił moment, kiedy p. Marszałek Piłsudski żegna p. Wys. Kom. Helmara Rostinga, (drugi od lewej), po zakończeniu jego wizyty w Belwederze.



PIERWSZY LOT SAMOLOTEM P. MARSZ. PIŁSUDSKIEJ. Dnia 25 ub. m. p. Marsz. Piłsudska, wraz z córkami odbyła pierwszy swój lot w samolocie trójsilnikowym „Fokker". Aparaty te są używane na polskich linjach lotniczych i wykazują stuprocentowe bezpieczeństwo. Lot p. Marszałkowej nad Warszawą trwał 20 minut. Na zdjęciu p. Marszałkowa z córkami na tle Fokkera.



SZAŁ ZBROJENIA. Pomimo szalejącego kryzysu wszystkie państwa znachodzą jednak środki, aby zbroić się. Nikt bowiem nikomu nie ufa a wszyscy uważają, że najpewniejszą rękojmą pokoju i bezpieczeństwa są po staremu armaty i bagnety. Stany Zjedn. A. P. nie są pod tym względem wyjątkiem i dlatego nie szczędzą wydatków, szczególnie na powiększenie floty. Ukończony niedawno nowy pancernik „Indianopolis" (na zdjęciu) został już spuszczony na morze i będzie poddany próbom, zanim zostanie oficjalnie włączony do floty. *Keystone — Berlin.*



EPOKOWY WYNALAZEK. Inżynier hiszpański Alvarez Ruiz wynalazł generator powietrzny, którego konstrukcja trzymana jest oczywiście w tajemnicy, umożliwiający przebywanie pod wodą przez nieograniczony czas. Na próbach, które odbywały się w Madrycie, na oczach olbrzymich tłumów, inż. Ruiz zanurzył się w tanku pod wodę i przebywał tam przez dziesięć godzin. Wynalazek ten posiada epokowe znaczenie szczególnie dla łodzi podwodnych. *Keystone — Berlin.*



KONIEC WALK BRATOBÓJCZYCH W BRAZYLJI. Powstańcy brazylijscy, którzy pod wodzą generała Klingera opanowali stan St. Paolo, zostali rozgromieni przez wojska rządowe, przyczem generał Klinger dostał się do niewoli. W ten sposób, cała ta ruchawka, której podłożem były niskie ceny kawy i brak zbytu na nią, została zlikwidowana. Kawę jednak po dawnemu, wyrzuca się do morza, względnie pali się nią w piecach. Na zdjęciu przybycie generała Klingera do Rio de Janeiro, jako jeńca.

„PO ŚWIĘTYM JUDZIE — CZAS POMYŚLEĆ DLA BYDŁA i OWIEC o BUDZIE“



Juhas z psami z zachodniego Beskidu (Żywiecczyzna).



Owce na halach Pilska. Fot. W. Dubowski — Żywiec.

Przysłowia ludowe regulują od wieków życie wsi. Według powiedzeń i przysłów, czy to o św. Marcinie, czy to o św. Annie, układa się pogląd meteorologiczny chłopa, a niewątpliwie i jego zajęcia gospodarskie stosują się do tych odwiecznych prawideł. Jedno z takich prawideł powiada, że od św. Judy (czyli Tadeusza — 28 października), trzeba pomyśleć o zapędzeniu bydła do stajni. Kończą się wypasy budła na łące, czas spędzić owce z hal i żywić trzodę przygotowanem w lecie sianem.

Końcowe dni października są szczególnie ważne dla pasterzy, którzy przez czas wiosny i lata zaludniają szałase, stojące na tatrzańskich halach i polanach. W dolinach rozlegają się po raz ostatni dzwonki krów i baranów, a gościńcami od wielkich dolin tatrzańskich ciągną gromady białych i czarnych owiec, zdążające do swoich wiosek macierzystych. Ta wędrówka z hal jest niesłychanie ciekawem i barwnem widowiskiem i sygnalizuje pierwsze nadejście zimy.

Okres, który następuje po odejściu bydła i owiec z hal, jest też w Tatrach, jak i na Podkarpaciu okresem martwoty i spokoju. Przychodzą wówczas w Tatrach gwałtowne wiatry halne, wiejące już to od Liptowa, już to od Orawy i przynoszą pierwsze śniegi na górach, a melancholijny deszcz w dolinach. Niektóre doliny reglowe, stojące w krasie czerwonych liści, zaczynają tracić kolory — lasy szpilkowe ciemnieją, a mgły coraz częściej osuwają się w dolinę Zakopanego.

Okres przedzimowy w całym łańcuchu Karpat jest okresem szczególnego smętku i martwoty. Dopiero pierwsze dni grudnia, począwszy od święta Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia przynoszą w góry i pogórza ożywiony ruch narciarzy, szukających emocji na śniegu. Dzień 8-go grudnia jest bowiem oficjalnie niejako dniem rozpoczęcia sportu narciarskiego. Przed tym okresem narciarze z całej Polski obliczają tylko szanse śniegu i przygotowują swój sprzęt.

ROZRUCHY BEZROBOTNYCH W LONDYNIE.



Policja odprowadzająca aresztowanego robotnika.
Wide-World Photos — Paris.

Marsz głodowy na Londyn naogół nie udał się. Miał on być żywiołowym protestem przeciwko obniżeniu zasiłków bezrobotnym, a zdołał skupić zaledwo 3.000 przedstawicieli prowincyj, którzy przybyli do Londynu na wezwanie władz partyjnych. Szli oni drobnemi grupami, niosąc transparenty z bardzo rewolucyjnie brzmiącemi napisami. Punktem zbornym wszystkich delegacyj był Hyde-park, gdzie też rozbito namioty i rozłożono się obozem. Bezrobotni nie mogli narzekać, ponieważ zorganizowano dla nich odpowiednią pomoc, ustawiono kuchnie polowe, dzięki czemu otrzymali ciepły posiłek i strawę.

Obóz bezrobotnych otoczyły natychmiast tłumy ciekawych i sympatyków tak, że wkrótce cały Hyde-park zalało jedno wielkie morze głów ludzkich. Nowo pojawiające się delegacje z prowincyj były entuzjastycznie witane. Najczęściej na czele ich jechały konne patrole policji. Zachowywała się ona najzupełniej poprawnie i nie interwenjowała, nawet gdy wznoszono okrzyki zwrócone przeciwko dynastji (precz z królem!), przeciwko rządowi i wybitnym osobistościom politycznym i gdy żądano zaprowadzenia ustroju bolszewickiego i t. d.

Naogół bowiem początkowo i policja i demonstranci nie mieli sobie nic do zarzucenia. Demonstranci stali karnie pod trybunami, wysłuchując mów swoich przywódców, a policjanci patrzeli na to obojętnie, nieczuli na wszystko, niby kamienne figury. Dla wszelkiej pewności trzymano w pogotowiu ogromne rezerwy policyjne w liczbie 20.000 ludzi, których Lord Major zmobilizował na ten dzień. Samego tylko ratusza pilnowało 3.000 policjantów, a parlamentu 4.000 policjantów i 1.000 żandarmów.

Lord Major obawiał się nie tyle bezrobotnych z prowincji, ile komunistów, którzy w największej skrytości, przeważnie incognito, przybyli do Londynu z prowincji, aby wykorzystać „dzień głodu“. Także najrozmaitsze męty, których nigdy nie brak w wielkiem mieście, czyhały tylko, aby w odpowiedniej chwili runąć na sklepy i rabować. Rabunki te, dokonywane w biały dzień, są zresztą od dłuższego czasu na porządku dziennym w Londynie, tak, że wiele sklepów zainstalowało u siebie urządzenia, dzięki którym na wypadek napadu jest cała ulica alarmowana dzwonkami.

Demonstranci ruszyli tymczasem z Hyde-parku do miasta. Nastrój stawał się coraz bardziej gorączkowy i podniecony. Wreszcie na policję posypały się kamienie i cegły. Policja broniąc się, użyła pałek gumowych i rozpoczęła rozpędzanie tłumów. Rozpierzchły się one jednak dopiero wtedy, gdy policja konna urządziła szarżę.

Jak było do przewidzenia, elementy przestępcze, korzystając z rozgardjaszu, natychmiast przystąpiły do tłuczenia szyb i rabowania sklepów. Władze bezpieczeństwa opanowały jednak szybko sytuację i nie dopuściły do dalszych ekscesów.

Tak więc z wielkiej chmury spadł mały deszcz, ale sytuacja wewnętrzna Anglji pozostała po dawnemu niepewna.

W Anglji jest zarejestrowanych trzy miljony bezrobotnych, którzy już prawie od dziesięciu lat pobierają ze skarbu państwa sute zasiłki. — Takiej armji „emerytów“, którzy biorą rentę za to, że nie pracowali i że powstrzymują się od awantur nie zniesie nawet zasobny skarb angielski, gdyż zagraża ona równowadze budżetowej.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że prędzej, czy później Anglja będzie musiała zdecydować się na jakieś radykalne posunięcia w tej sprawie, aby uwolnić się od nieznośnej daniny na rzecz bezrobotnych. Jak długo jednak stoi na czele rządu b. leader partji pracy Mac Donald nie wydaje się prawdopodobnem, aby taki krok nastąpił.





W ubiegłym tygodniu odbyły się w Londynie rozruchy bezrobotnych, którzy przybyli tam z całego kraju, aby zaprotestować przeciwko obniżeniu zasiłków. Na zdjęciu walka na barykadach pomiędzy policją a demonstrantami.
Scherl — Berlin.



Rozruchy głodowe rozpoczęły się w Hyde-Parku (na zdjęciu). Początkowo policja nie interwenjowała zupełnie, użyła dopiero pałek gumowych, gdy posypały się na nią cegły i kamienie.
Keystone-Berlin.



Punktem zbornym bezrobotnych był Hyde - Park (na zdjęciu), gdzie wygłoszono szereg rewolucyjnych przemówień. Sport & General — London.



Z Hyde-Parku wyruszyli bezrobotni na ulice Londynu, gdzie doszło do wielkich zaburzeń, w czasie których 37 policjantów zostało ciężko rannych a wiele sklepów zrabowanych.
Wide-World Photos — Paris.



Kobiety z Lancashire, posilające się w drodze do Londynu.
Wide-Wold Photos — Paris.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



MISS EUROPA NA ŚLUBNYM KOBIERCU. Greczynka Miss Aliky Diplarakos, która w 1930 r. została uznana za najpiękniejszą kobietę Europy, wyszła za mąż za lotnika Weillera, kawalera orderu Legji Honorowej. Ślub odbył się w Paryżu w cerkwi greckiej, w obecności posła Politisa i sekretarza generalnego ministerstwa spraw zagranicznych Berthelota, oraz tłumów publiczności. Na zdjęciu para młoda po powrocie z cerkwi.



PRZEŚLADOWANIE KOŚCIOŁA W MEKSYKU. Prawie równocześnie w Sowietach, w Hiszpanji i Meksyku rozpoczęto najostrzejszy kurs antyreligijny. Prześladowania te kierują się w pierwszym rzędzie przeciwko kościołowi rzymsko-katolickiemu. W Hiszpanji nastąpił najzupełniejszy rozdział kościoła od państwa, majątki zaś kościelne zostały skonfiskowane. Rosja sowiecka przystąpiła do realizacji t. zw. piatiletki bezbożności, która ma wyplenić (?!) w ciągu pięciu lat wszelkie życie religijne na terenie całego tego olbrzymiego państwa. Także w Meksyku duchowieństwo katolickie jest skazane na zagładę. Za najmniejsze przewinienia stawia się tam księży przed sąd i skazuje na ciężkie kary. Na zdjęciu arcybiskup Ruizy Flores, przesłuchiwany przez generalnego prokuratora w Meksyku Manuela Trejo. (obok po prawej).



LUDZIE RADZĄ SOBIE, JAK MOGĄ. W Magdeburgu w Niemczech zawiązało się towarzystwo „Prywatnego pogotowia policyjnego“, którego członkowie na każde telefoniczne wezwanie zjawiają się, aby swoim klientom służyć pomocą w razie napadu bandyckiego, lub też dokonanego przez przeciwników politycznych. Kto chce korzystać z usług towarzystwa, musi uiścić opłatę miesięczną. Jak dotąd amatorów takich w Magdeburgu znalazło się już 3.000. Członków prywatnego pogotowia nazywają popularnie „czarnymi huzarami“. Na zdjęciu widzimy ich, czuwających w wartowni.



SIEDEMNAŚCIE TRUPÓW NA TORZE KOLEJOWYM. W pobliżu Temeszwaru przyszło dnia 17 ub. m. do strasznej katastrofy kolejowej, w której ofiarą padło 17-tu zabitych, przeważnie robotników, zdążających do pracy. Katastrofa nastąpiła wskutek wyskoczenia ze szyn dwóch ostatnich wagonów, które wywróciły się i były potem wleczone jeszcze kilkaset metrów. Jest to nie pierwsza gromadna katastrofa kolejowa w ostatnich tygodniach. Fatalne „prawo serji“ ujawniło się więc i tym razem... Na zdjęciu resztki pogruchotanych wozów.



PIERWSZA ZAPOWIEDŹ ZIMY. Z różnych stron świata nadchodzą już wiadomości o pierwszych podmuchach zimy. Tu spadł śnieg, tam znowu zanotowano pierwszy mróz. Minęły już jednak czasy, kiedy zima napawała ludzi strachem i zamykała ich w dobrze opalonych mieszkaniach. Dziś zima, to radosny okres nart, ślizgawki i wycieczek. To też miss Sally Rand, urocza artystka nowojorska z radością nurza się w pierwszym śniegu nad brzegiem jeziora Michigan (na zdjęciu).

MARJA SANDOZ. **FELJETON TYGODNIOWY.**

JESIEŃ W ZACHODNICH TATRACH.

Zakopane, w październiku.

Dawno już wybieraliśmy się na Rohacze, w tę odludną, dziką grupę granitową, zabłąkaną wśród łagodnych trawiastych kop Tatr zachodnich. Zawsze jednak brakło jakoś czasu, czy dobrej pogody lub zapędu turystycznego, skierowanego raczej ku Tatrom Wysokim. I tym razem do ostatka „puścić“ nas nie chciało. Bałwaniły się nad górami szare kłęby chmur, dmuchały ciepłe fale halnego, barometr leciał na dół — odkładało się więc te nieszczęsne Rohacze z dnia na dzień.

Wreszcie przebrała się cierpliwość i mimo bardzo niekorzystnej prognozy na pogodę, padło hasło wymarszu. Późnawo dosyć złądowaliśmy plecaki i linę do Harley'a, ubolewając, że wskutek tego zwlekania znowu tylko dwa dni zostały na wycieczkę i że znowu przyjdzie gonić od świtu do nocy. Motocykl napił się benzyny, przeleciał z warkotem przez opustoszałe już mocno Zakopane i pomknął ku Kościeliskiej ochoczo. Na szczytach siedziały czapy chmur, niebo zaciągnięte szarą oponą przecedzało przez nią mdłe słoneczne promienie — aura zdecydowanie niepewna.

Minęliśmy piękne rozległe polany u wylotu Chochołowskiej i wjechaliśmy w głąb doliny. Tu zaczęła się golgota dla Harley'a. Na wyboistej, nierównej, miejscami błotnistej drodze zaczął siadać na dziurach, grzać się, dymić. Kołysząc się jak okręt i przewijając z jednej strony na drugą — pokonywał „jedynką“ trudności chochołowskiego szlaku. Wkońcu utknął u stóp Organów ostatecznie.

Zostawiwszy poczciwego „konia“ pod mocno niepewną opieką jakiejś chochołowskiej wiedźmy — przywędrowaliśmy na Polanę do nowego schroniska Warszawskiego Klubu Narciarzy. Zapomniało



Widok na Tatry Zachodnie z pod pustelni Albertynów w Zakopanem.

już ono o gwarze zimowej i krótkim sezonie letnim. Pustki szalone, robotnicy tylko tynkują, porządkują, stukają. Nastrój wogóle niewesoły na Polanie, bo wszystko bydło i owce, chore na pryszczycę, snują się smętnie po wytartych już zupełnie pastwiskach.

Godzina dwunasta. Nic uczciwego przedsięwziąć się już nie da. Wędrujemy zatem do podnóża Mnichów chochołowskich i lawirując wśród pięknych skałek, wychodzimy na szczyt Bobrowca, zwanego inaczej Jamburowym Wierchem (1.664 m.). Stoki jego, opadające stromo ku lasom nad Chochołowską polaną — są nagie, trawiaste i smutne, zachodnie zaś, chylące się ku Bobrowieckiej — porośnięte bujnemi kosówkami, jarzębiną i polami borówek.

Aura zupełnie nagle zdecydowała się ku pogodzie. Pękła ołowiana płachta chmur i zaczęła w poszarpanych festonach opadać na szczyty. Południowe słońce przygrzało nagle żarem i świat górski pojaśniał, poweselał. W godzinę na niebie nie było ani chmurki. Rozłożyły się przed nami w malowniczych grupach łagodne wierzchołki Tatr Zachodnich, z za kopulastego Wołowca wyjrzały ciekawie ostrą krawędzią Rohacze, a na dalekim północnym horyzoncie zarysowała się Babia Góra, Pilsko, zamajaczył jasną plamą Nowy Targ. Cały wieczór zajęły obliczenia i targi z czasem. Chcieliśmy być i na Wołowcu i na Rohaczach i zwiedzić Rohackie Stawy i jeszcze przed 6-tą wrócić do Harley'a.

Ledwie zatem pierwszy brzask padł w okna schroniska, zerwaliśmy się nazajutrz na nogi, bez śniadania, z zimną tylko herbatą w plecaku, i przed 5-tą byliśmy już w mrocznym gęstym lesie. Ostre zimno zachęcało do szybkiego marszu, a na głowy i ramiona zlewała się z operlonych świerków obfita ranna rosa. Srebrne były od niej zupełnie stare brodacze i młode zagajniki i zagubione wśród boru polanki. Wkrótce za czarną ścianą lasu zapłonął czerwono wierzchołek Wołowca.

W kotle u jego stóp wśród nieprzejrzanych zupełnie pól borówek i brusznic, wsunęliśmy z apetytem śniadanie. Sołońce siedziało już na Czerwonym Wierchu i przymrużonem okiem patrzyło po szczytach i graniach. Wnet wypiło wszystek chłód i wszystką rosę i o tej wczesnej godzinie porannej jęło nasycać świat świetlistym żarem. Po nudnem wspinaniu się po trawkach, osiągnęliśmy przełączkę między Rakoniem a Wołowcem i oczy nasze pobiegły w głąb pięknej dolinki Rohackiej, migocącej przeczystemi lusterkami stawów. Potem przeniosły się na urwiste ściany Rohaczy i ich grań ostrą i ciekawą.

O 8-mej na Wołowcu. Wionął nam w twarz chłodny wiatr od Orawy i zalśniły z pośród piargów Jamnickie Stawy. Niemałą atrakcją były uwijające się tu gromady jaskółek, które zbierają się powoli do odlotu. Z przełęczy za Wołowcem odrazu zmienił się charakter grani, pod butami zadźwięczał najprawdziwszy granit. Stromo w górę nad potężnemi urwiskami po płytach i głazach pniemy się ku szczytowi Rohacza Ostrego, z zaciekawieniem oczekując obiecanego „konia“ skalnego. Wąziutka, czerwono znaczona ścieżynka omija jednak ostrożnie trudniejsze występy grani, więc trzeba się z nią rozstawać co chwila.



Rohacki staw Niżni.

Dostawszy się na wąską eksponowaną grań szczytową, z radością rozwinęliśmy linę i przejechaliśmy się pięknie na skalnym rumaku. Przez przełączkę i trawiasty komin wydostajemy się na szczyt Rohacza Ostrego (2.072 m.). Niechętnie zwijamy linę, cieszymy się widokiem i słońcem i wkrótce ruszamy w dalszą drogę na Rohacz Płaczliwy (2.126). Sympatyczna grań, przetykana skałkami i płytami, wiedzie nas niby podniebna spacerowa ścieżka ponad romantycznemi dolinami w pustce i odludziu.

Hen na południu leży w słońcu niż słowacki, a nad nim duma — poetyczny Dziumbir. Wesoły wiatr hula po grani, a z błękitów spływa boski żar. Z płaczliwie przekrzywionej głowy drugiego Rohacza schodzimy długą granią ku przełęczy pod Zielonym Wierchem, gdzie koniec wędrówki. Spuszczamy się w dziką, romantyczną dolinę Smutną. Górne jej piętro, wysłane morzem piargów, dolne aksamitem kosówki. Spadają w nią prosto czarne ściany Rohaczy i pasą się na jej słonecznych stokach kozice.

Jest tak bezgranicznie pusto i odludnie, jakby noga człowieka nie stąpiła tu nigdy. Przeraźliwy gwizd świstaka co chwila woła na trwogę. Przeszedłszy zieloną bulę dostajemy się niebawem nad upragniony Rohacki Staw Niżni, zwany Orawskiem Morskiem Okiem. Pełen jest zadumy i czaru w obramieniu kosówki, w groźnem granitowem otoczeniu pięknych szczytów. Żalany potokami słońca, zagubiony w tych romantycznych odludziach, wywiera naprawdę niezwykłe wrażenie. „Wygarowawszy“ się całą godzinę nad przeczystą wodą, w której odbija się rzeźba skalistej grani Rohacza — maszerujemy dalej w dół ku dolinie Zuberskiej.

Co za pustka, co za cisza! Zgmatwana zieleń lasów, kosówek, jarzębin, podszyta wysoką trawą, łanami paproci i gencjan, tworzy na tle granitowej dekoracji szczytów jeden wspaniały dziki park, odwieczne uroczysko, zagrzebane w najtajniejszych głębiach Tatr. Zlewają się nań potoki złotego słońca i ciepła.

Kłoniące się ku zachodowi w świetlistej poświacie słońce zapowiada długą pogodę. Przedzieramy się przez lasy i gąszcze bystro i męcząco w górę na stoki Rakonia. Wysłana lasami dolina Zuberska lśni w złotym pyle poświaty, trawiaste stoki łagodnych kop wygrzewają się w wiecznym blasku.

Z Długiego Upłazu otwiera się widok na Wysokie Tatry, przypominają się zimowe uciechy narciarskie, miękkie firny, cudowne zjazdy. Po 12-tu godzinach marszu stajemy z powrotem w schronisku, nie spotkawszy przez cały czas żywej duszy. Odludne i dzikie są Zachodnie Tatry, a przytem mają w sobie specjalny urok, pełen zadumy i melancholji. Gdy się tak siądzie na ciepłym upłazie i pośle wzrok po zielonych szczytach i dolinach, opada człowieka dwojakie uczucie: widok ten koi, pociesza i krzepi, a równocześnie napełnia dziwnie smutną zadumą. Wrażenia są zupełnie odmienne, niż wśród potęgi i dzikości granitów.

O 6-tej wracamy Harley'em. Złoty sierp księżyca wędruje po graniach. Góry są sine, zimne, jakby zastygłe, na świat pada szary mrok i chłód.



Rohacz Płaczliwy i Ostry z doliny Smutnej.

Zdjęcia M. Sandoz — Zakopane

SŁONIE I NOSOROŻCE WYMIERAJĄ.



Stado dzikich słoni afrykańskich.

Przed kilku tygodniami wyjechała do puszcz afrykańskich komisja, wysłana przez rząd francuski, która miała zbadać w Afryce stan dzikiej zwierzyny.

Pierwsze relacje badaczy wypadły zatrważająco. Wynika z nich, że jeśli system polowania w Afryce nie zmieni się i trzebienie zwierzyny będzie postępowało dalej w tych rozmiarach co dotychczas, to już za kilka lat wyginą w lasach afrykańskich słonie, nosorożce, żyrafy i hipopotamy. Podobny los grozi nieuchronnie także innym gatunkom zwierząt.

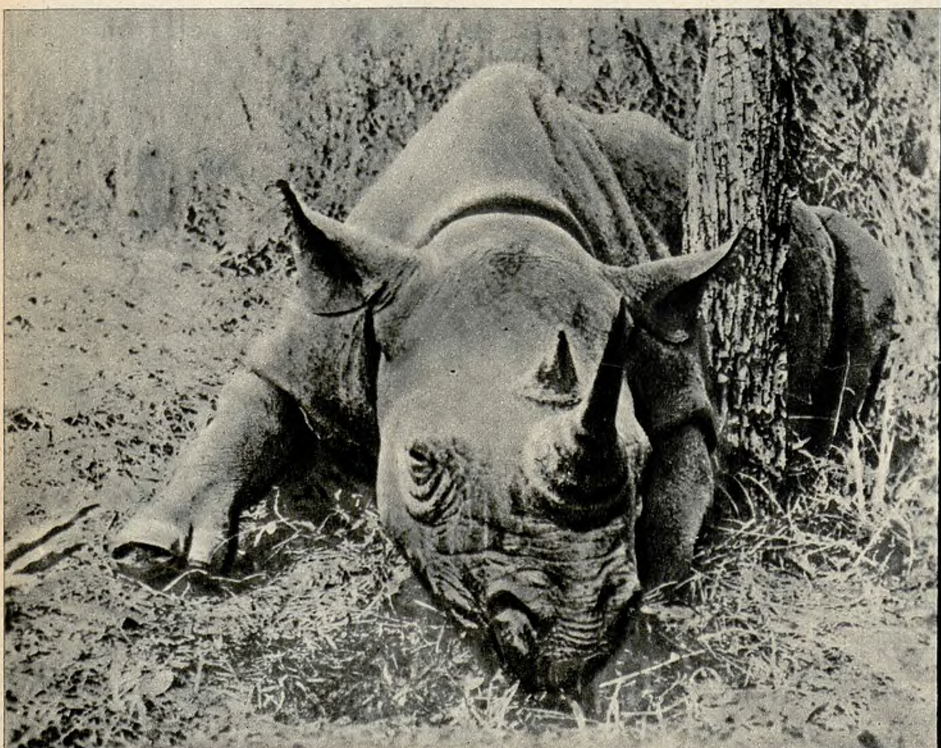
Komisja francuska domaga się zatem reformy w tej dziedzinie, i to jak najszybciej. Pierwszym krokiem w tym kierunku byłoby podpisanie umowy między Francją, Anglją i Belgją, jako protektorkami i posiadaczkami największych części Afryki. Umowa ta zmierzałaby do ochrony zwierzostanu przed największym wrogiem, to jest przed krajowcami, którzy żywią się przeważnie mięsem upolowanych zwierząt.

Niemniejszymi szkodnikami są myśliwi z różnych krajów, którzy, hołdując swej namiętności, zjeżdżają do Afryki na wyprawy łowieckie i trzebią zwierzynę bez litości.

Najgorzej wyszły na tej pasji niszczycielskiej w Afryce, zwłaszcza w Kongo belgijskiem, słonie. Każdy oddział robotników, pracujących przy budowie dróg i kolei otrzymał pozwolenie na zastrzelenie jednego słonia tygodniowo, w celu zaopatrzenia się w żywność. Zastępów robotników jest coraz więcej, a tem samem siłą faktu coraz mniej słoni.

Zdaniem komisji, byłoby zatem rzeczą wskazaną obmyśleć inne sposoby wyżywienia robotników kolonjalnych. Także łowiectwo krajowców musi być ograniczone. Jak dotychczas stwierdzono, na 100 słoni 98 zabijają krajowcy, którzy marnują najczęściej mięso, a kość słoniową sprzedają. Biedne zwierzęta chronią się przed swymi prześladowcami do odleglejszych okolic puszcz, gdzie niema ani dostatecznych zapasów wody, ani też miejsca, wskutek czego skazane są na nędzną wegetację.

Unormowanie łowiectwa w Afryce ma pójść w tym kierunku, że wolno będzie polować na lamparty i lwy bez ograniczenia, jako na szkodniki, mnożące się bardzo szybko. Natomiast myśliwy może upolować rocznie tylko jednego nosorożca, jednego słonia, dwa hipopotamy, osiem bawołów, dziesięć antylop, dziesięć kozłów wodnych — i to pod tym warunkiem, o ile kierownik wyprawy łowieckiej zaopatrzy się w kartę myśliwską. Szczególnej ochrony doznawać będą nosorożce. Ich róg odgrywa dużą rolę w medycynie chińskiej — stąd wzmożony eksport tego towaru do Chin.



Zabity nosorożec.

CZŁOWIEK KTÓRY WYNALAZŁ CONFETTI.

W Berlinie żyje niejaki Paweł Bemuth. Liczy już lat 74, trzyma się jednakże krzepko. Niedawno pewien dziennikarz niemiecki przypomniał szerszej publiczności to nazwisko. P. Demuth bowiem jest, ni mniej, ni więcej, tylko wynalazcą confetti i serpentyn. Wynalazku tego dokonał zgórą przed 50-ciu laty i zrobił na nim majątek, opatentowawszy go we wszystkich krajach Europy. Po trzech latach confetti rozpowszechniły się po całym świecie i zawojowały obie półkule, dziś zaś niepodobna wyobrazić sobie, czy to zabawy, czy lepszego dancingu, czy też zwyczajnego strażackiego festynu bez confetti.

Gdyby zliczyć, wiele serc złączyły w ciągu 50-ciu lat te małe, kolorowe, fruwające w powietrzu skrawki papieru, to byłoby ich dziesiątki tysięcy, a może i więcej.

Sędziwy Demuth, pomimo, że już dźwiga ósmy krzyżyk na swoich barkach, nie zasypia na laurach, pracując gorączkowo nad nowemi pomysłami, które parom tańczącym mają urozmaicić zabawę. Przygotowuje więc maski, sztuczki magiczne i t. d. inne niespodzianki na karnawał.





Paweł Denuth, który przed 50-ciu laty wynalazł confetti, w swojej pracowni w Berlinie. Atlantic-Photo.

KANDYDAT DO TRONU POLSKIEGO.

W paryskim dzienniku „Volonte" ukazała się notatka, że Polska stoi w przededniu zamachu stanu, który da jej ustrój monarchistyczny, a na tronie Jagiellonów posadzi ks. Sykstusa de Bourbon Parma. Aż dziw, że wiadomość ta pojawiła się w prasie nie w okresie karnawału, ani kanikuły, tylko babskiego lata. Ale bo też należy do rzędu babskich plotek, których nie potrzeba dementować.

Niedoszły król polski urodził się w 1886 r. w Szwajcarji, jako syn księcia Roberta. Jego matka była infantką portugalską. Książę Robert miał ogółem, z dwóch małżeństw, 19-ro dzieci, m. in. córkę Zytę, która poślubiwszy arcyksięcia Karola, była ostatnią cesarzową austrjacką. — Nazwisko księcia Sykstusa stało się sławnem w 1917 r., kiedy to wystąpił on jako pośrednik pokojowy pomiędzy Francją i Austrją i w tym celu potajemnie przyjechał do Wiednia, aby układać się z cesarzem Karolem. Owocem tych zakonspirowanych rokowań był list cesarza, w którym władca Austrji uznawał „słuszne pretensje Francji do Alzacji i Lotaryngji". Kiedy wywiad niemiecki dowiedział się o tym liście, podniosły się w Berlinie głosy oburzenia, a wtedy minister spraw zagranicznych, hr. Czernin, musiał pod słowem honoru zaręczyć, że ten list jest falsyfikatem, co oczywiście prawdą nie było. Sykstus jednak parmeński tem różnił się od innych polityków austrjackich, że widział, iż wojna musi się skończyć katastrofą Austrji. Chciał więc ratować swego szwagra, ale mu się to nie udało. Pogłoski o staraniach jego o koronę polską po raz pierwszy pojawiły się już w 1926 r. Obecnie odgrzebano je, jako sensację, widocznie po to, aby w tych smutnych czasach, jakie przeżywamy, było się z czego pośmiać.



Książę Sykstus de Bourbon-Parma, którego dzienniki francuskie nazywają pretendentem do korony polskiej. Keystone — Berlin.

FELIKS DANGEL.

NA CZERWONEJ GRANICY.



Zawiana śniegiem wieś na pograniczu polsko-sowieckiem. Na pierwszym planie widoczne słupy graniczne.
Fot. J. Jóźwicki.

Jeszcze się złota jesień mocowała z złą matulą zimą, ale już szare jako lniane chusty, niskie chmurzyska strzępiły się o lasy okolicę, otaczające, a wicher zimny lodowy dął w obnażone gałęzie drąc z nich powiędłe, anemiczne listowie... Co wieczora też wilki pod sadyby ludzkie podchodzą, a jak i niekiedy to z inwentarza co porwą, ku biedzie i sumacji ludzkiej, co wieczora też poprzez zwaliska chmur widoczne niebo płonęło czerwienią na wschodzie, poza tym lasem, za siołem tam gdzie przez wielkie rozlewisko przeciągnięto linję graniczną... Niesamowicie tu wichry hulają, ludzie pól tych jak przeklętych unikają, a tylko kiedy niekiedy zwierz, rabuś spłoszony, mgnie szarem cielskiem, po olchowych zaroślach...

Tam na wschodzie, tuż za tą łąką graniczną zaczyna się Rosja... Ach nie, przepraszam, nie Rosja... Rosji już niema — to Sowiety... Od Berezyny do Uralu i poza Ural. Płachta ziemi, skąd wypędzono Boga, a człowiekowi odebrano prawo człowieczeństwa...

Tam hen! daleko żyją narody o wielowiekowej kulturze starej Azji, ale tu... to Sowiety...

— — — — — — — — — —

Z ganku dworku, ustrojonego w kraśny wieniec jesiennego wina, widać z daleka okolicę... Tam poza tą dróżką, już tamci „rezydują"... nie widać patrolu w filcowym pierogu z gwiazdą czerwoną. „Pretorjanie" Sowietów obchodzą z rzadka odcinki graniczne, ale czuwają ciągle. Ma się wrażenie, że okolica ta, pas nadgraniczny, strzeżony jest pilniej nawet, niż ciche modlitwy w tajemnicy po wsiach odmawiane...

A tam na widnokręgu widnieje wieś szara i do ziemi przytulona jak kuropatwa.

Zaprowadzono tam w roku zeszłym gospodarkę komunistyczną, t. z. „kołchoz". Na skutki inowacji nie czekano długo, Już wiosną roku bieżącego we wsi wybuchła epidemja tyfusu plamistego i druga klęska: głód.

Zawezwano „speca" od spraw rolnych z Moskwy i instruktora „kołchozów". Przyjechali, obejrzeli traktory połamane, które, „funkcjonować nie chciały" i do zebranej, gorączką tyfusu oddychającej ludności, palnęli mówkę. — Po wysłuchaniu ultra optymistycznego przemówienia, utrzymanego w stylu ultrakomunistycznym, jeden z włościan wystąpił z tłumu, prosząc delegata o pomoc w ciężkich chwilach głodu. Zdumieni włościanie otrzymali radę natychmiast i pocieszenie delegata w słowach:

„Eto jeszcze nie gołod, poka mater rebionka nie jest" (to jeszcze nie głód, o ile matki nie jedzą własne dzieci).

Tyfus i głód zdziesiątkował osiedle, a ci, co pozostali, wysłani zostali jako „uzupełnienie kadr" innego kołchozu".

Czasami jednak w cierpliwym i zmaltretowanym chłopie rosyjskim budzi się bunt, porzuca on dom i sioło rodzinne i w noc ciemną, noc bezksiężycową, skrada się ku granicy...

Bezludne pogranicza ożywią się wtedy na chwilę. W mroku nocy słychać po stronie polskiej nawoływania jakieś, galop koński i pada strzał.

I cisza znów zalega, kraj do uroczyska podobny.

Czasami też na strażnicy K. O. P-u zjawia się upiór w gałganach i wygłodniały... to włościanin rosyjski, który tu przybył — by być znów człowiekiem...

Z bezładnych opowiadań strzępu człowieczego, jednego się tylko można dowiedzieć, że „dobrze było, dopóki ta ich przeklęta swoboda nie nastała..."

— — — — — — — — — —

W jednej z cerkwi w Bobrujsku złożone były w ołtarzu relikwje św. Serafina, objekt kultu całej sowieckiej Białorusi, wsławiony licznemi cudami. Cerkiew tą obecnie bolszewicy przerobili na „regjonalne sow. białoruskie muzeum". Do cerkwji tej jednak co niedziela zdąża siwowłosa starowinka. Idzie dziesiątki kilometrów do „muzeum", a tam przybywszy, kornie klęka przed ołtarzem z relikwiami i modli się do Świętego, by zbawił Rosję. Komuniści, dozorujący muzeum wyśmiewają starowinkę, nie robiąc jej żadnej krzywdy: „bo cóż zrobisz warjatce".

Zamilkły tam dzwony — bo modlić się nie wolno. „Religja to opium dla narodu". A naród, który modlił się do Kazańskiej Świętej Przeczystej, pada dziś twarzą przed pół obłąkanym w sadyźmie marynarzem z Kronsztadu.

— — — — — — — — — —

Na stacji granicznej w Stołpcach danem mi było raz rozmawiać z delegatem t. z. „Wniesztorgu".

— Proletarjackie pozdrowienie wam towarzyszu.



Patrol Korpusu Ochrony Pogranicza na zasadzce na granicy sowieckiej.

— Daj Boże zdrowie, cóż u was tam słychać w Sowietach?

— A świetnie! Dnieprostroj będzie elektryfikował sześć dawnych gubernji. Moskiewskie fabryki produkują codziennie dziesięć tysięcy szczoteczek do zębów...

Elektryfikcja sześciu gubernji?! Ale co będą oni oświetlać?!

— Kuszte chaty!

Szczoteczki do zębów, dla narodu, który nie zna przeznaczenia... mydła? Jest w tym jakaś straszna tragikomedja, jakieś szaleństwo chorego umysłowo kolosa...

— — — — — — — — — —

Przez białe filarki dworu polskiego widać wyraźnie szarą połać jesiennej ziemi...

Tylko tu w gąszczu drzew radośnie ćwierkają ptaszęta, tam głucho jest i pusto.

— Czy obsiewają oni, „tamci" pograniczne pola?

— Bliższe tak. Sprowadzili w tym roku kilkanaście traktorów, własnej roboty, ale że się ciągle psuły i łamały, zniecierpliwieni włościanie powrócili do soch, bo pługów niema...

Dalsze zaś pola leżą ugorem.

— Interesuje mnie jako myśliwego opieka nad zwierzyną łowną, po tamtej stronie...

— Jaka tam opieka. Dwa lata temu przyjechali jacyś pijani komisarze z miasta, urządzili obławę, zaczęli palić z karabinów, postrzelali żołnierzy swoich i pojechali. Dziki, a nawet wilki całemi stadami uciekają przez granicę do naszych lasów.

A nasi polują?

— Jest tu jeden zuch porucznik ze strażnicy K. O. P-u. Chwat chłopak, jak się złoży, to szerść i pióra lecą.

— — — — — — — — — —

W nadgranicznym polskim dworku mieszka dostojna Pani Tradycja. Uplasowała się w starych biedermanowskich fotelach, spogląda na prawnuków ze zczerniałych płócien portretów...

Bo dwór to za Sasów budowany, bo kwaterował w nim Napoleon, a nawet pił polską kawę...

Nad łóżkiem dziedzica zawisła karabela, turkusami sadzona... Krzyżuje się ona z kozaczym jataganem... tak, jak przed wiekami, tak i teraz w muzealnem złożeniu srebrnych kling...

Dwory te zrodziły stannice K. O. P-u, stannice spełniają testament, przez pradziadów wnukom przekazany... Bo tylko cyfra w kalendarzu się odmieniła i stroje, ludzie zostali ci sami.

Ten mój gospodarz, który strzelając z dubeltówki, odpierał napad dywersantów i ci chłopcy ze strażnic, rzeźcy, dzielni, weseli... to Kmicicowe plemię...

— — — — — — — — — —

W strażnicy dziś wielkie święto... Kucharz zrobił klopsy w szarym sosie, więc „zagrycha" będzie pierwszorzędna, a łącznik do tego przywiózł pocztę z miasteczka.

— Te, Franek... pisała twoja?

Franek odpowiedzieć nie może, bo ma akurat całego klopsa w ustach, ale wesoło mruga oczami i pokazuje list w różowej kopercie. Do Franka list ten ma wartość czeku banku angielskiego, ściska go więc mocno w dłoni, a potem odczytuje...

„i będę cię kochała mój królewiczu na zawsze i amen...".

Ot, takie proste serdeczne słowa dziewczęcego kochania...

Na dworze zaturkotała furmanka. Wybiegają chłopcy.

To chłop z sąsiedniej wsi, o dwanaście kilometrów oddalonej, przywiózł do pana doktora z KOP-u malutką córeczkę, która „coś spuchła, aż strach.....

Pan kapitan-lekarz jest dobrodziejem okolicy. W białej zaszklonej szafce trzyma we flakonach i ampułkach zdrowie powracające środki...

— — — — — — — — — —

W nocy, w kancelarji pana sierżanta zadygotał dzwonek...

Padają jakieś urywane, krótkie słowa, rzucane do telefonu. Za chwilę pluton dosiada koni. Załopotały, galopem pokyta, a chłopcy, przegięci w siodłach popędzili gdzieś w noc, w ciemną nieznaną, którą tylko rysie oczy przebić mogą, ku niewidzialnemu wrogowi.

— — — — — — — — — —

Jesienny świt leniwie przedzierał się przez mglistą ziemię.

Białemi pasemkami rysują się słupy graniczne, gdzieś tam w błocie zahuczał przebudzony bąk...

Słońce właśnie przedarło się przez chmury i rzuciło snop światła złotego na wzgórze...

Jedna po drugiej wyłaniały się z za niego sylwetki zbrojnych na koniach.

To patrol K. O. P-u powraca z nocnego objazdu granicy... Suną cicho jak cienie dawno pomarłych obrońców tej ziemi, zbrojni i dostojni... młodzi Mohortowie. Ze snu późnego budzić się zaczęły dwory i wsie, po których odezwało się pianie kogutów...

Tak żyje się tutaj na granicy...

LEGENDY ARABSKIE.
DLACZEGO RÓŻE MAJĄ KOLCE?

Stary Abdallah el Azabi, przymknął oczy i zaczął opowiadać... *Ag. Fot. „Światowida".*

Tarchuna (Trypolitanja).

Stary Abdallah el Azabi przymknął oczy i, założywszy ręce za kolana, siedział w głębokiej zadumie na kawałku starej, trzcinowej maty, rozłożonej przy dużym kamieniu, który służył za stół dla przydrożnego pisarza.

W oazie krzyk sprzedających i kupujących był tak wielki, że chwilami zdawało się, iż z dalekiej pustyni płynie echo wojennych okrzyków z pola walki pomiędzy pokłóconemi szczepami.

Abdallah el Azabi był bardzo zmęczony. Zaledwie słońce w połowie przesunęło się po afrykańskiem niebie, a on już tyle przeżył... Tyle przecierpiał... Pisał miłosny list do Meriem, dorodnej córy szeika w Homs w imieniu jej ukochanego Abu Nasser'a, „sokoła" pustyni i króla oaz. Musiał maczać pióro we krwi własnego serca... Przypomniał sobie młode lata, gdy kochał i był kochany..., i pisał tak, jak ongiś do swojej Gazelli. I gdy na papierze skreślił słowo Meriem — serce mówiło Gazella... Cierpiał dużo... Po chwili znowu pisał list wdowy El A-ssa do brata zmarłego, donosząc o śmierci.... Płakało wówczas to serce 80-letniego starca razem z wdową i jej sześciorgiem dzieci — sierotami... A później jeszcze pisał kilka listów handlowych, w których to zachwalał towar, to znowu upominał się o pieniądze... We wszystkich tych sprawach Abdallah el Azabi był sobą. Radował się, weselił, smucił, płakał, tęsknił, pożądał, współczuł, delektował itd., itd., a gdy przerwałem mu to dumanie, jak on twierdził, „przeżuwanie" tego wszystkiego, co od rana przeżywał — odpowiedział:

— Niech będzie błogosławiony Allah i Jego Prorok Mahomet, albowiem pamiętają o swym niegodnym słudze starcu Abdallahu el Azabi, przysyłając w porę ciebie, synu białych ludzi, aby mi przerwać cierpienie.



Dwie urocze dziewczyny arabskie z oazy Tarhuna.

— Bądź pozdrowiony, najmądrzejszy synu Afryki po szeiku Asrubi el Ghebir Gadames... Przyrzekłeś mi wczoraj opowiedzieć arabską legendę o tem: „Dlaczego róże mają kolce!" i przyszedłem do ciebie...

— Siadaj przy mnie, a Dobry Allah niechaj ci towarzyszy w twojej pracy. To mówiąc, usunął się na skraj swej maty, dając mi pierwsze miejsce przy kamieniu, a sam zapatrzony w przeźroczysty lazur nieba, mając nieco przymknięte oczy, opowiadał:

— Wielki Allah spacerował po alejach rajskiego ogrodu i dumał... dumał... Kwiaty chyliły się do Jego stóp. Gwiazdki wypadały z ram, jak płatki róż z kwietnego kielicha... Księżyc toczył się po mlecznej drodze, zmiatając wszelkie nieczystości z dnia, a podążający za Allahem orszak niewiast nucił wraz z chórami Cherubów i Serafów tak piękne hymny, że wielka kapela słowików przestała grać w zaroślach swe trele, zasłuchana w koncercie boskich panien...

I wielki Allah był zadowolony, bo posuwał się zwolna po alejach rajskiego ogrodu, przystawał co chwilę i delektował się śpiewem i muzyką... Tak doszedł do kryształowego pałacu, gdzie w lazurowej sali oczekiwali nań jego ministrowie, pracujący w dalekich krainach... Przybyli do raju, aby zdać raport ze swych misyj...

—O, Allah! Allah! — zawołali chórem, padając na twarz przed boskim majestatem, ale w okrzyku tym było widać dużo smutku, rozpacznego bólu i żalu...

— Powstańcie i mówcie, synowie najmilejsi, dlaczego w waszym głosie jest tyle smutku i żalu do mnie — powiedział Stwórca, siadając na kryształowym tronie.

—O, Panie, Panie! — zaczął mówić wysłannik z Arabji... W dowód uznania za pracę , przed wyjazdem z raju dałeś mi jedną z najpiękniejszych swoich cór... Pokochałem ją, jak Ciebie. Byłem jej wierny, jak pies... Pieściłem, jak najukochańsze dziecko... Tęskniłem, gdym był od niej zdala tak samo, jak za Tobą, o Piękno, Prawdo i Dobro świata... Ale ona nigdy nie była zadowolona. Zawsze coś takiego wynalazła w moich czynach — czem mogła mnie ukłuć, ukłuć moje biedne, kochające serce. Dlatego też, o Wielki i Święty Allahu, jestem smutny, bo wiem, że kwiat mego życia ma ostre kolce...

— Panie nad Panami! — mówi drugi minister z nad Eufratu. — I mnie obdarzyłeś Kwiatem swego ogrodu, gdy wyjeżdżałem w Twojej misji z raju. I mój kwiat był jedyną troską mego życia. Żyłem i pracowałem tylko dla tej pięknej niewiasty. Nie znałem uśmiechów słońca, ani piękna gwiazdy zarannej, ani też tęczowych kolorów na niebie. Polowałem na dzikie zwierzęta, aby jej przynieść najpiękniejsze futra. Zabijałem wyszukane pod słońcem ptaki, aby jej dostarczyć piór dla ozdoby. Siałem kwiaty wszelkiego gatunku, aby miała czem przystroić swoje włosy... Ale ona, o, Panie, nie była z tego zadowolona i dawała mi za to wszystko więcej goryczy niż rozkoszy i radości życia. Moje serce dziś pokłute żądłem jej języka, pociskami jej oczu, jak sito..

— Błogosławiony bądź Allahu, Wielki Stwórco i Dobrodzieju ludzkości! — pochylił się do stóp trzeci wysłannik z Libji. — Byłeś dla mnie dobry i łaskawy. Pozwoliłeś mi sobie wybrać najpiękniejszą dziewicę ze swego boskiego orszaku. I poszła za mną, jak łania na wielkie pustynie. Karmiłem, poiłem, odziewałem, jakbyś Ty sam to wszystko robił... Kochałem, jak córkę... A dziś już jestem starcem!...

— Dlaczego? — zapytał zagniewany Allah.

— Panie! Nie gniewaj się... Twoja córa wypuściła wszystką krew z mego serca i usycham. Codziennie kłuła mnie, jak ostrze sztyletu...

I tak kolejno żalili się wszyscy przed Monarchą świata na piękne córy raju, które miast być towarzyszkami — raniły ich serca codziennemi kaprysami, miljonami kaprysów i złości...

Rajski chór przestał nucić... Słowiki zamarły ze strachu i nie trącały w struny swych niewidzialnych harf... Kwiaty zamknęły się w kielichach... Księżyc schował się za wielką chmurę. a gwiazdy przymknęły oczęta — bo oto gniew Allaha pokazał się na Jego boskiem obliczu...

— Wracajcie do swych krain — powiada Stwórca. — Odtąd będziecie bez towarzyszek życia. One w tej chwili powracają do mnie... i będą ukarane...

Słowa Stwórcy stały się ciałem. W lazurowej sali przed obliczem Allaha stanęły wszystkie córy, które ongiś zostały podarowane ministrom za towarzyszki życia. Stały wylęknione, jak biedne gazelle na pustyni przed zbliżającą się burzą.

Zagniewane oczy Allaha spoczęły kolejno na każdej z Jego cór, a po chwili dały się słyszeć takie słowa:

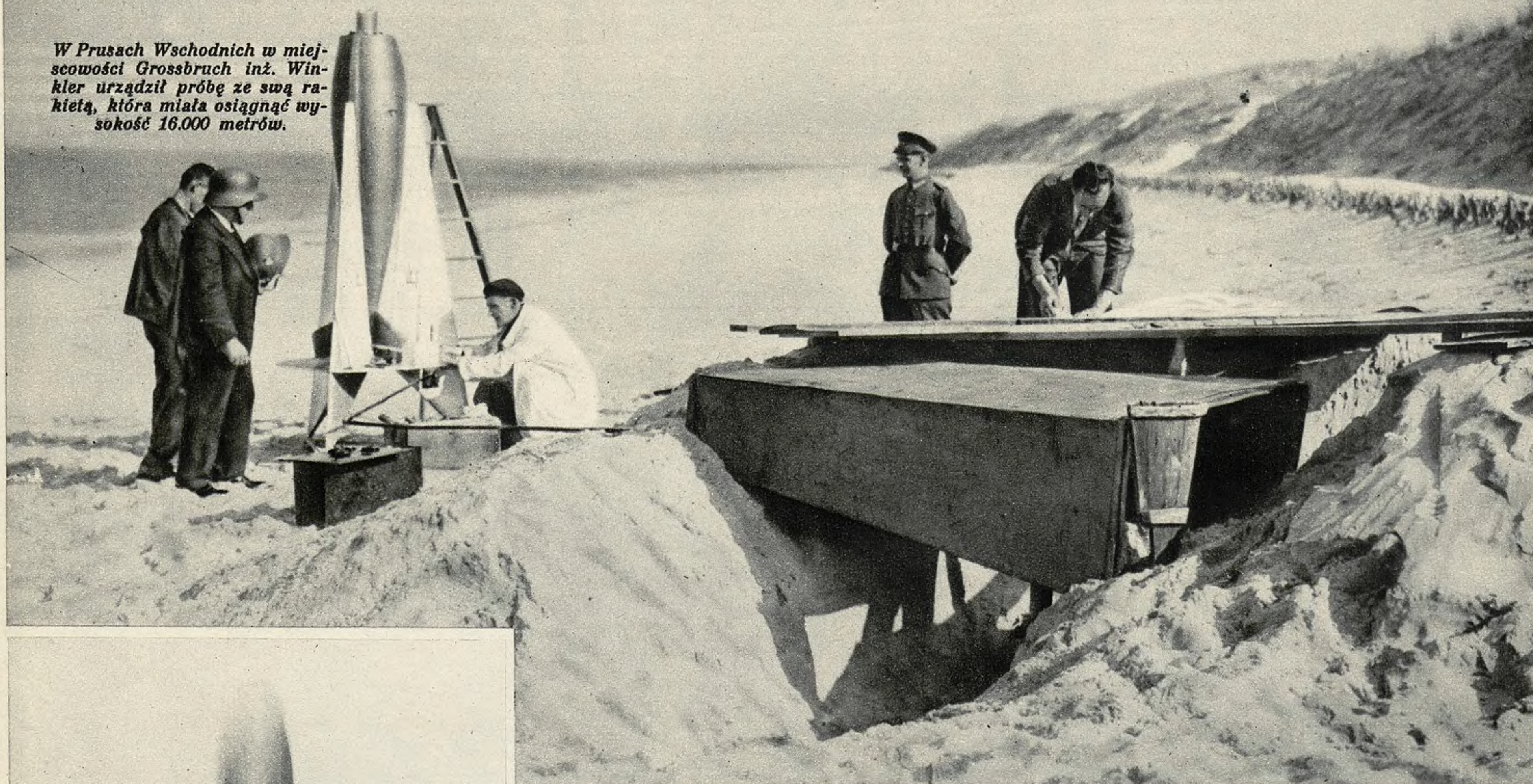
— Idźcie w aleję, zwaną aleją ministrów i zamieńcie się w kwiaty, t. j. w różę, które mieć będą rajski zapach i boskie oczy, ale pod kielichem mieć będą kolce... A gdy mężczyzna zechce pić z tego kielicha woń i rozkosz życia — niechaj przedtem odczuje wasze kolce...

Córy Allaha poszły na wskazaną aleję i stały się różami... A mężczyzna płacze, narzeka, ale zrywa róże, które tak kolą... .tak bardzo czasami kolą..."

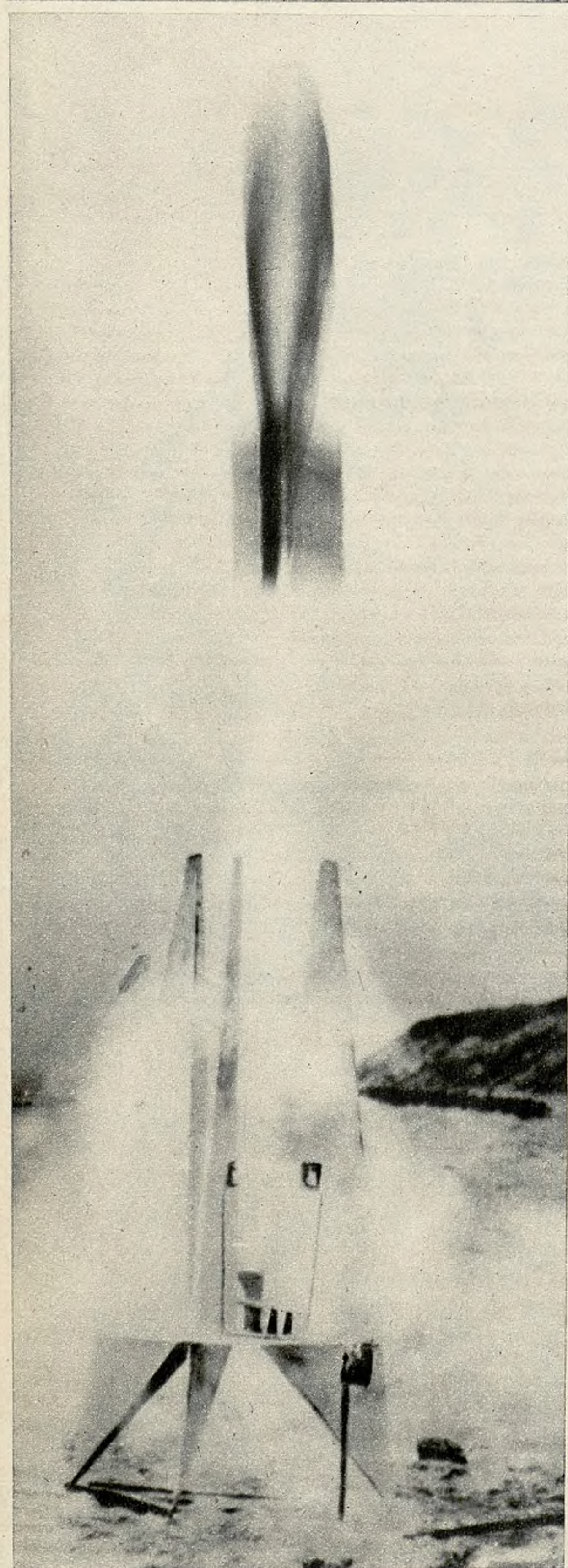
Ostatnie słowa wymówił Abdallah El Azabi z takim bólem w głosie, że zdawało mi się, iż zdradziecki syn pustyni przeszył jego starcze serce zimnem ostrzem zatrutego sztyletu.

I on miał w życiu różę, która kłuła:..

START RAKIETY WYBUCHOWEJ.



W Prusach Wschodnich w miejscowości Grossbruch inż. Winkler urządził próbę ze swą rakietą, która miała osiągnąć wysokość 16.000 metrów.



Start rakiety. *W chwilę potem nastąpiła eksplozja, która rakietę rozerwała w kawałki.*

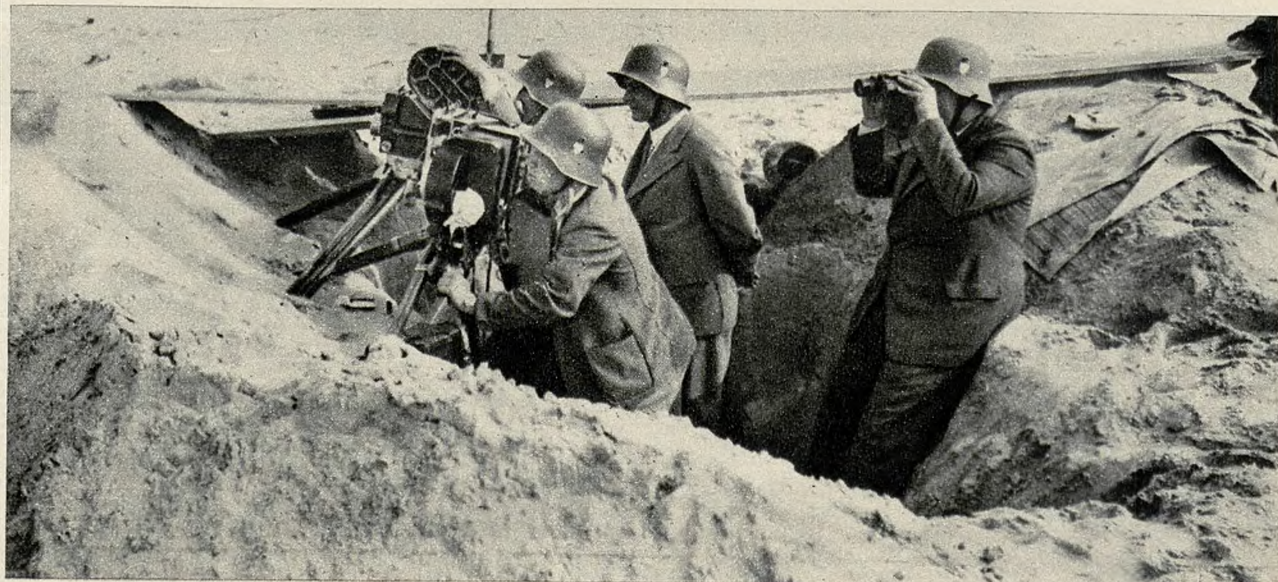
Duch ludzki jest zuchwały i niespokojny. Jeszcze nie upłynęło kilkadziesiąt lat od zaczątków lotnictwa, a już pracuje się i myśli w różnych zakątkach świata nad jeszcze bardziej agresywnem wystąpieniem w walce z przestworzami. Jesteśmy świadkami ciągle nowych usiłowań, zmierzających do zbudowania rakiety lotniczej, co absolutnie niema nic wspólnego ze zwyczajnem lotnictwem w dotychczasowem znaczeniu tego wyrazu. Ruch rakiety lotniczej różni się zasadniczo tem, że odbywać się może nawet środowisku zupełnie próżnem, a zatem przedstawia teoretycznie możliwość żeglowania w próżni międzyplanetarnej. Czy się to kiedyś urzeczywistni, narazie wydaje się mocno wątpliwem. Niemniej jednak szereg śmiałków i zaciekłych badaczy, niezrażonych niesłychanem niebezpieczeństwem i słabemi widokami doraźnego powodzenia, pracuje w pocie czoła nad wymyśleniem i skonstruowaniem coraz to nowych modeli rakietowych.

Ruch rakiety zasadniczo opiera się na tem samem zjawisku, które obserwować można podczas wystrzału armatniego. Cofanie się lufy, towarzyszące wyrzucaniu pocisku, ale odbywające się w kierunku wprost przeciwnym, naśladowane jest w rakiecie, gdzie bez przerwy wyrzuca się drobne pociski wybuchających gazów, co powoduje ruch rakiety w kierunku przeciwnym.

Próbowano wybuchy te wywoływać różnym sposobem. Używano prochu strzelniczego o specjalnie wielkiej sile wybuchowej. Używano rozmaitych płynów łatwopalnych i wytwarzających gazy o wielkiem ciśnieniu. Padło już dużo ofiar w życiu ludzkiem. A nie udało się wynaleźć jeszcze odpowiedniej mieszaniny wybuchowej, któraby w praktyce okazała się celową. Niedawno odbyły się próby wystrzałów rakiety zbudowanej przez Winklera. Posługiwał się on mieszaniną skroplonego tlenu oraz skroplonego metanu, które to płyny, mieszając się w komorze spalania, wytwarzają gazy o ogromnej sile. Cóż z tego, kiedy i ta próba się nie powiodła, jak to widzimy na załączonych ilustracjach. Rakieta uniosła się wprawdzie na kilkadziesiąt metrów w górę — ale wtedy nastąpiła z miejsca momentalna eksplozja materjału palnego, która natychmiast rakietę zniszczyła. Niewiadomo jeszcze, co było przyczyną tego niepowodzenia. Mieszanina, użyta przez Winklera, wydaje się odpowiednia, może był jakiś błąd w konstrukcji samej rakiety. W każdym bądź razie Winkler nie zraża się niepowodzeniem próby, przeprowadzonej niedawno w Iławie (Prusy Wschodnie), tylko zamierza pracę swoją kontynuować.

Najbliższym celem rakietowców jest stworzenie rakiety pocztowej, któraby, wystrzelona w pewnem miejscu, przeniosła pocztę na odległość kilku tysięcy km. w czasie kilkudziesięciu minut. Miałoby to znaczenie ogromne. Rakietowcy twierdzą, że teoretycznie muszą mieć powodzenie i już myślą nad ewentualnym dalszym planem zastosowaniu rakiety do lotów w przestrzeni bezpowietrznej, a nawet międzyplanetarnej. Czy nie okaże się to fikcją, nie wiemy!

Qui vivra, verra. **J. A.**



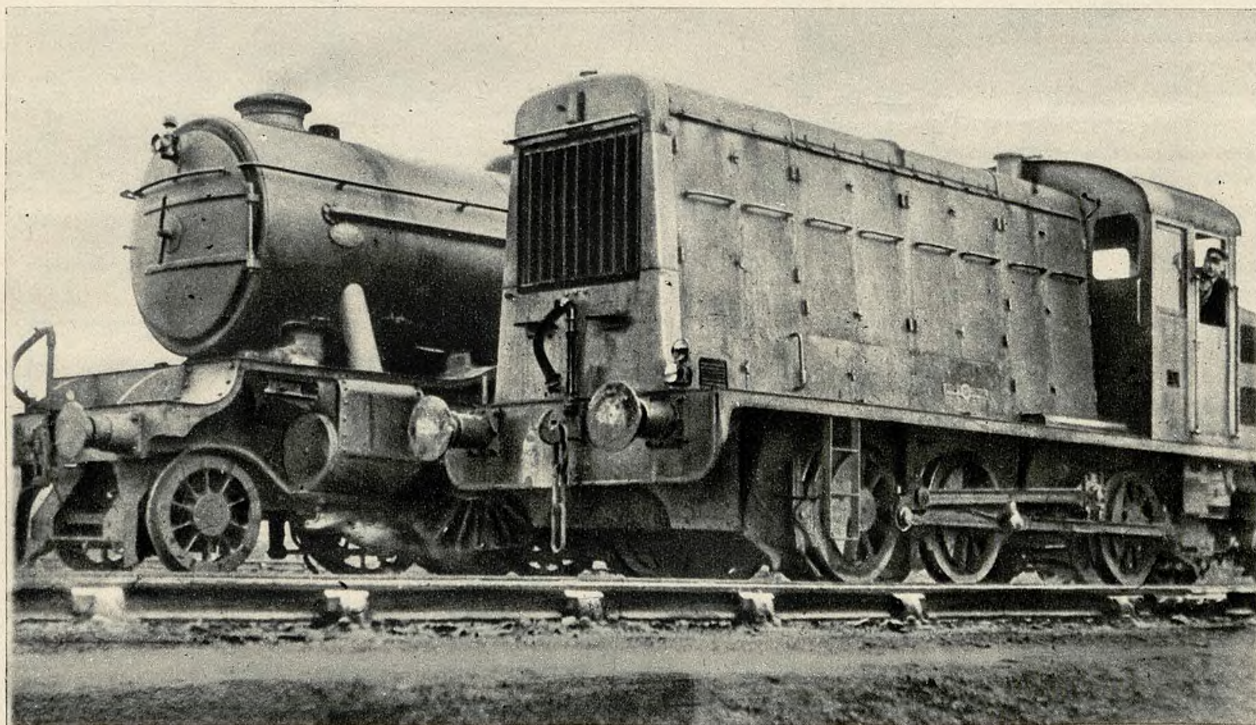
Operatorzy, filmujący start rakiety. Ubrani są oni w hełmy stalowe w celu zabezpieczenia się od ułamków rakiety na wypadek jej eksplozji.

Zdjęcia Argusfot, Berlin.

KTO ZWYCIĘŻY DIESEL CZY STEPHENSON?

Na ilustracji widzimy obok siebie dwie potężne lokomotywy, używane w kolejnictwie angielskiem. Stoją one zgodnie obok siebie, a nikt by nie przypuszczał, że są to dwaj niebezpieczni konkurenci. Jedna z maszyn to znana, prastara lokomotywa parowa, wywodząca się jeszcze od Stephensona, ale tylko w ogólnych zarysach przypominająca genjalny ten wynalazek w jego pierwotnej formie. Znikł wysoki komin, z którego pozostał tylko organ szczątkowy. Dominuje ogromny masyw kotła i maszyny parowej, spoczywającej na pięciu osiach. Obok niej stoi maszyna o dość dziwnym wyglądzie, tylko podwozie podobne jest do podwozia zwyczajnego parowozu, podczas gdy górna część przypomina raczej jakiś potężny zbiornik dla wywozu śmieci. Jest to lokomotywa (już nie parowóz) Diesla. Zasadnicza różnica między obu maszynami jest ta, że w parowozie spala się pod kotłem węgiel kamienny, a do motoru Diesla używa się jako źródła energi oleju mineralnego. Zastosowanie płynnego paliwa daje szereg udogodnień, umożliwia ono lepsze wyzyskanie tendra, gdyż paliwo płynne posiada kilkakrotnie większą wartość kaloryczną, aniżeli węgiel o tej samej objętości. Prócz tego, lokomotywa Diesla obchodzi się bez zbiornika wody, gdyż tutaj energja spalonego paliwa bezpośrednio zamienia się na mechaniczną energję tłoków. Podobno wydajność ostateczna takiej lokomotywy Diesla jest tak wielka, że przy tej samej sprawności oszczędza się dosyć znaczne sumy w porównaniu z parowozem zwyczajnym. Lokomotywa Diesla, widoczna na ilustracji, posiada napęd kombinowany, gdyż motor Diesla uruchamia dopiero dynamo maszynę tak, że jest to właściwie lokomotywa elektryczna.

Jest bardzo charakterystycznem, że napęd motorowy zapomocą silników opalanych paliwem płynnem, który w komunikacji morskiej już odniósł zwycięstwo nad paliwem stałem, zaczyna zdobywać teren także i w kolejnictwie, które dotychczas było uważane za wyłączną domenę węgla kamienego. Niema co kwestjonować zwycięstwa płynnego paliwa nad stałem, rozwój idzie zdaje się w tym kierunku, że albo będzie się używało mieszaniny delikatnie rozpylonego węgla z olejem mineralnym, jak to już niedawno wypróbowano na linji Cunarda, albo też będzie się używało upłynnionego węgla w postaci syntetycznych paliw płynnych, uzyskanych zapomocą uwodornienia węgla. **Inż. A.**



Nowa elektryczna lokomotywa (po prawej) z motorem Diesla, która na kolejach angielskich zastąpi dawne maszyny parowe.

OBROŃCA ULSTERU DOCZEKAŁ SIĘ POMNIKA.

W 1911 r. Irlandja wywalczyła sobie autonomję. Wtedy to wystąpił na widowni politycznej lord Edward Henryk Carson, który w parlamencie angielskim zasiadał, jako przedstawiciel uniwersytetu w Dublinie i przywódca unjonistów. Domeną jego wpływów była północna Irlandja, którą Anglikom w ciągu wieku udało się częściowo skolonizować i pozyskać dla protestantyzmu. Otóż kiedy niepodległościowy irlandzcy chcieli do swego państwa włączyć także i północną Irlandję, czyli t. zw. Ulster, lord Carson zorganizował armję ochotników, liczącą 100.000, uzbroił ją i oświadczył, że będzie bronił do ostatka przynależności tej prowincji do Anglji. Dzięki tej energicznej i niezłomnej postawie lorda Carsona, Ulster nie został włączony do Irlandji.

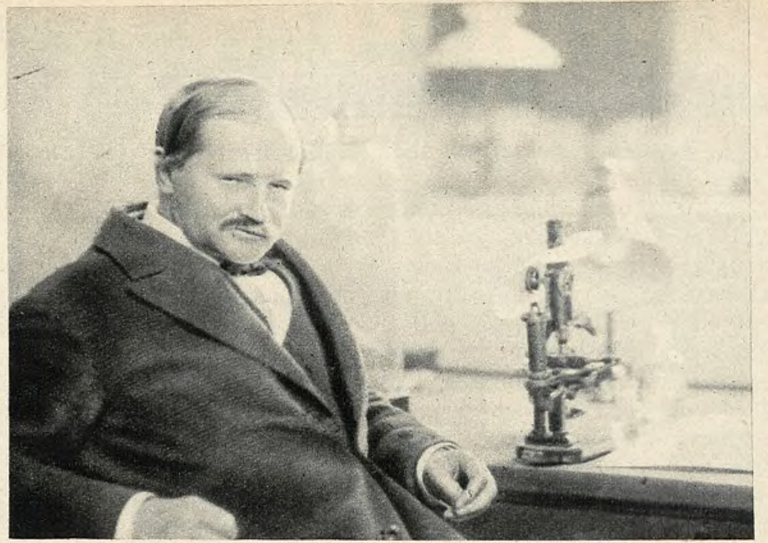
W czasie wojny Carson wstąpił do wojska i został zamianowany generalnym prokuratorem w gabinecie Asquita. Później piastował urząd pierwszego lorda admiralicji, w 1917 r. objął stanowisko ministra propagandy. Realizacji swych idei doczekał się jednakże lord Carson dopiero po wojnie, kiedy Ulster otrzymał autonomję i własny parlament. W 1921 r. usunął się on z działalności publicznej, zamianowany dożywotnim członkiem Izby wyższej.



Rzeźbiarz Merrifield przy pracy nad pomnikiem lorda Carsona. Pomnik ten stanie przed parlamentem w Belfaście (północna Irlandja).



WALASIEWICZÓWNA W POLSCE. Powróciwszy na stałe do kraju, nasza fenomenalna lekkoatletka Walasiewiczówna jest otoczona sympatją całego społeczeństwa, które wdzięczne jej jest za to, że tak godnie umiała barwy polskie zagranicą reprezentować i że nie poszła w obcą służbę, pomimo ponętnych propozycyj. — W tych dniach „Rada Org. Polaków z zagranicy" urządziła przyjęcie dla Walasiewiczównej. W wesołym nastroju spędzono kilka godzin, otaczając zwartem kołem znakomitą lekkoatletkę (na zdjęciu).



TRAGICZNY ZGON UCZONEGO. W Warszawie popełnił samobójstwo śp. dr. Konstanty Janicki, profesor zoologji morfologicznej i systematycznej, oraz kierownik zakładu zoologicznego uniwersytetu. Zmarły, uczony o dużym rozgłosie, był czynnym członkiem Polskiej Akademji Umiejętności.

CI - O KTÓRYCH SIĘ MÓWI.



SENSACYJNY PROCES WARSZAWSKI. — Przed sądem okręgowym w stolicy stanął niejaki Józef Blachowski, oskarżony o zamordowanie dyrektora Zakładów Żyrardowskich Koehlera. Przewód sądowy wykazał, że w Żyrardowie panowały niezdrowe stosunki, a robotnicy byli wyzyskiwani i szykanowani. — Na zdjęciu Blachowski na ławie oskarżonych w momencie przemówienia jego obrońcy adwokata Berensohna.



B. CESARZOWA ZYTA W KOLONJI. Ostatnia cesarzowa austrjacka po przewrocie w 1918 r. przebywała przez jakiś czas w Szwajcarji, poczem na zaproszenie króla hiszpańskiego przeniosła się do Hiszpanji a przed dwoma laty do Brukseli, gdzie najstarszy jej syn Otto, pretendent do tronu węgierskiego, uczęszcza na uniwersytet. Cesarzowa Zyta jest matką kilkorga dzieci. Ponieważ jedno z nich ciężko zachorowało, przeto przewieziono je do specjalisty do Kolonji. Na zdjęciu Zyta, opuszczająca klinikę, w której przebywa jej dziecko.

DWAJ CAROWIE — MONARCHOWIE.

B. car bułgarski Ferdynand (w pośrodku) w towarzystwie „Cara Wszechrosji“ Cyryla (po lewej) składa gratulacje księciu szwedzkiemu Gustawowi Adolfowi po jego ślubie z księżniczką koburską Sybillą. Po prawej były następca tronu bawarskiego ks. Ruprecht.

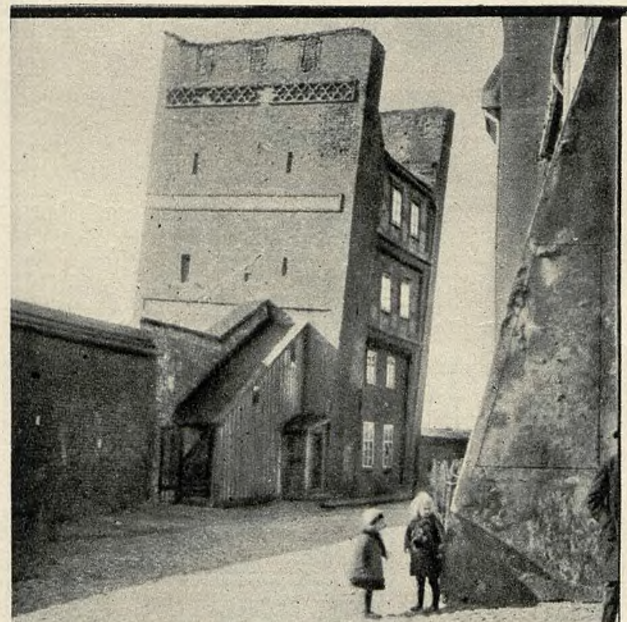
W Koburgu, małej mieścinie niemieckiej, rezydują teraz aż trzy dwory monarsze. Pierwszy z nich należy do „Cara Wszechrosji“ Cyryla, który uważając się za prawowiernego spadkobiercę korony Romanowów, włożył ją sobie sam na głowę, nie czekając chwili, aż skończy się reżim bolszewicki i zacznie t. zw. trzecia Rosja.

Drugi dwór, to królewski. Skupia on się około osoby byłego króla bułgarskiego Ferdynanda. Sędziwy ten monarcha, odznaczający się podobnie, jak jego dawno zmarły krewniak Leopold belgijski, dużym, wyrazistym nosem, pochodzi z linji Sachsen-Koburg Gotha. Matka jego była księżniczką orleańską. Ferdynand jest spokrewniony ze wszystkiemi domami panującemi, a przedewszystkiem dynastjami Anglji i Belgji. Początkowo poświęcił się on służbie wojskowej w Austrji, po upadku zaś księcia Aleksandra Battenberskiego został w 1887 r. obwołany księciem Bułgarji przez tamtejsze zgromadzenie narodowe. Uznanie jego jednak przez Turcję i mocarstwa nastąpiło dopiero w 1896 r., głównie za sprawą cara Aleksandra III. Po przegranej wojnie, która tyle klęsk sprowadziła na Bułgarję, musiał car Ferdynand abdykować na rzecz swego syna Borysa i wyjechał do Koburga, gdzie zamieszkał w pałacu księcia Ernesta II i zajął się hodowlą kwiatów i ptaków śpiewających, przedsiębiorąc od czasu do czasu podróże naukowe np do Afryki.

Trzeci dwór w Koburgu, w hierachji najniższy, należy do rodziny książęcej Koburg-Gotha. Jedna z najmłodszych latorośli tej rodziny, której specjalnością jest dostawa kandydatów na królów i królowe do wszystkich krajów Europy, nosząca piękne imię Sybilli, poślubiła najstarszego syna szwedzkiego następcy tronu, księcia Gustawa Adolfa. Z tej racji do Koburga zjechało się kilkudziesięciu członków domów panujących i mnóstwo junkrów, którzy z rozrzewnieniem przypominali sobie dawne dobre czasy, kiedy to na tronach Niemiec, Austrji i Rosji siedzieli carowie i cesarze. Naturalnie republikańcy Niemcy, uczyniły wszystko, aby uroczystościom tym dodać splendoru. Dwaj carowie monarchowie i n p a r t i b u s i n f i d e i u m mogli być więc zadowoleni. Królowali wśród snobów niemieckich i przeżyli swój wielki dzień.

Z POD KRZYWEJ WIEŻY.

Zygmunt d'Erceville.



Krzywa wieża w Toruniu, zbudowana w połowie XIII-go wieku, stanowi charakterystyczny zabytek średniowiecznych fortyfikacji starego Torunia. Z biegiem lat pochyliła się wskutek obsunięcia się fundamentów, podobnie jak słynna wieża w Pizie.

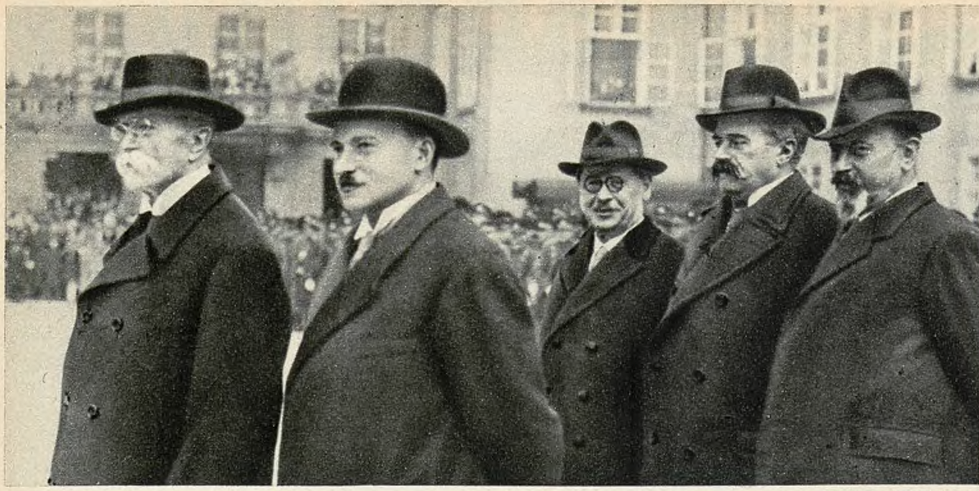
Nie! Mylisz się, Czytelniku — nie jest to korespondencja z Pizy; nie o pizańskiej krzywej wieży, nie o falach rzeki Arno, nie o polach Toskanji...

A mimo to, wieża, pod którą piszę, jest krzywa — tak! Krzywa jak tamta i równie starożytna jak ona i... równie symboliczna w stosunku do współczesności. Bowiem, współcześni, i tu i tam, są, mniej lub więcej, skrzywieni. Przyczyna? — Ta šama, co i przyczyna skrzywienia się wieży: obsunięcie się podłoża...

Krzywizna wież daje, jednak, więcej powodów do dumy narodowej, niż krzywe miny obywateli — to też miło mi jest patrzeć na te antyczne mury, skłaniające się w niemym, a tajemniczym ukłonie w stronę tamtych, na italskiej ziemi... Jakieś mistyczne polsko-włoskie przymierze...

Pod krzywą toruńską wieżą skulił się duch czasu: trzęsie się z kryzysu, ale to nic, to minie! Okrywa się, jak może, wspomnieniami dawnej własnej mennicy, za epoki Kazimierza Jagiellończyka, złotem minionych lat.... Dzisiaj, z tego złota pozostał tylko „złoty“, ale duch czasu umie się pocieszać i umie patrzeć w przyszłość: on wie, że w naszej dobie jedynie Państwo Utopji nie przechodzi kryzysu i wie, że wrota jutra — to ten „Łuk Cezara“, co z ciasnego śródmieścia prowadzi na zielone aleje. Na zieleni tej, w parku, na dalekiej wstędze Wisły, biegnącej ku polskiemu morzu, leży inna dola i inne zaklęcie. Cóż z tego, iż skarżą się rolnicy na podatki, na Kasę Chorych, co czyni ich finanse choremi, cóż z tego, że, krótko mówiąc, zacieśnia się wokół ich głowy historyczna „czapka pomorska“, słynne narzędzie tortur, o którem mówi Wasilewski!... Wszak, Toruń jest miastem Kopernika, a głosi napis na pomniku mędrca: „Terrae motor...“ Ziemię ruszył, a więc, może, jeszcze raz ruszy: ziemia pójdzie w górę, a z nią i ceny na produkty również! Zaprawdę, z jakiegoby punktu na tę kwestję nie spojrzeć, większą ma wartość ziemia, odkąd wiemy, iż się rusza. Od takiego zapatrywania do optymizmu tylko jeden krok. Wprawdzie, dla ogólnej harmonji trzeba, żeby krok ten wykonali, również, i emeryci i bezrobotni i, wogóle, wszyscy „bez“, jak: bezpieniężni, bezhumorni i t. p. Ale, w tym wypadku, pociecha tkwi w samej przyczynie zła: wszyscy ci przymusowo próżnujący tworzą nowe kadry letników, a wiadomo, iż Toruń uważany jest przez prawdziwych „specjalistów wypoczynku“ za letnisko i „zimowisko“ Składają się na to, zapewne, 4 przyczyny: 1) położenie pomiędzy Inowrocławiem, a Ciechocinkiem, 2) wyjątkowo małe śródmieście przy wielkich obszarach przedmieść i ogrodów i 3) nienerwowy, rzekłbym średniowieczny, charakter mieszkańców. Nerwowy Warszawianin, kipiący życiem Lwowianin, przeuczony Krakowianin, czy też jakiś obywatel Rypina, Mławy czy Pułtuska, znalazłszy się na bruku Torunia, mają wrażenie, iż są zagranicą. Winszują sobie, że oto tak bez 400-złotowego paszportu oglądają Europę, asfaltowaną, czystą, kulturalną, choć ubogą!... A gdy nasunie się im niepokojące pytanie: „O czem tu dumać na toruńskim bruku?“ — ten pierwszy impuls do polskiej udręki — mimowoli znajdują odpowiedź na pochylonej sylwetce starej wieży. Pochyla się ona, prawie, im do ucha i szepce: „Nie tak źle... nie padajcie na duchu... ja już od wieków jestem skrzywiona i nie padam...“.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI REPUBLIKI CZECHOSŁOWACKIEJ.



Prezydent Republiki czechosłowackiej dr. Masaryk (pierwszy od lewej) udaje się w towarzystwie ministrów na uroczystości niepodległościowe w Pradze. *Zdjęcia Centropress, Praga*



Defilada wojsk czechosłowackich w dniu święta narodowego przed prezydentem Masarykiem.

Dnia 28 października Republika Czechosłowacka obchodziła uroczyście Święto Niepodległości. Jak Polsce, tak i pobratymczemu narodowi słowiańskiemu wielka wojna światowa przyniosła wyzwolenie z pod obcego panowania, niepodległość państwową. Wśród trudnych warunków, które hamowały rozwój nowopowstałych państw, Republika Czechosłowacka zdołała jednak od samego początku wejść na właściwą drogę i wytrwale kroczy nią, wzmacniając się i konsolidując wewnątrz, utrzymując zarazem swe poważne stanowisko na szerokim terenie polityki międzynarodowej. Zawdzięcza to w wysokim stopniu osobie swego Prezydenta, profesora Masaryka, który jest w dzisiejszych czasach urzeczywistnieniem ideału platońskiego: postawienia filozofa na czele państwa. Również i ten fakt, że zagraniczną polityką Republiki od początku kieruje bez przerwy min. Benesz, przyczynia się bardzo do wzmocnienia pozycji młodego państwa.

OTWARCIE „TEATRU ARTYSTÓW" W WARSZAWIE.



Znany literat i publicysta Zygmunt Nowakowski reżyserował „Krakowiaków i Górali" w „Teatrze Artystów" w Warszawie.

Na otwarcie nowowybudowanego „Teatru artystów" w Warszawie wystawiono „Krakowiaków i górali" w inscenizacji i reżyserji dr. Zygmunta Nowakowskiego.

„Krakowiacy i górale" w inscenizacji dr. Zygmunta Nowakowskiego grane już były w Krakowie. W Warszawie inscenizator dokonał jeszcze pewnych zmian w kierunku uaktualnienia utworu i dopisał prolog, oraz epilog. Tym sposobem sztuka „Krakowiacy i górale", która (jak pisze we wstępie „Programu" dr. Nowakowski), w ciągu swej długiej, wspaniałej karjery uległa tysiącznym metamorfozom, wzbogaciła się całym szeregiem uzupełnień", jeszcze raz uległa metamorfozie, aby uczynić z niej rzecz żyjącą, a nie muzealną. Styl kukiełkowy widowiska, poparty ślicznemi stylizowanemi dekoracjami i kostjumami, uwspółcześnił sztukę i stuszował naiwności.



Scena z „Krakowiaków i Górali", których wystawiono na inaugurację sezonu w nowootwartym „Teatrze Artystów" w Warszawie.

Wyszedłszy ze słusznego założenia, iż „Krakowiaków i górali", którzy swoją propagandową patrjotyczną rolę już wygrali, należy zbliżyć do chwili bieżącej, dr. Nowakowski wtrącił do sztuki szereg dygresji aktualnych, aż do rumby w pierwszym akcie włącznie. Widz, który spodziewał się ujrzyć widowisko polsko-anielskie, obserwowane z pobłażliwością artystyczną, niespodzianie wciągnięty zostaje do współżycia ze sztuką i bije brawo nie „obrazkowi", a rzeczy żywej.

Zespół „Teatru artystów", składający się z artystów dramatycznych, a nie zawodowych śpiewaków, wykonał „Krakowiaków i górali" b. dobrze. Pp. Zelwerowicz, Fostan, Wyrzykowski, Pelewicz-Ziembiński i inni zbierali oklaski przyotwartej scenie.

„Teatr artystów", którego kierownikiem literackim jest dyr. J. Lorentowicz, zaczął swoją egzystencję z honorem.

Bocz.



Mieczysław Różański z Krakowa malował dekoracje do „Krakowiaków i Górali".
Rys. Antoni Wasilewski.



NAJMODNIEJSZE BERETY
Z SUKNA FUTRA WŁÓCZKI.



Skromny beret z brązowego filcu do sukienki beige, kombinowanej z koronką wełnianą w kolorze brązowym.





Komplet z lamparta złożony z żakiecika, mufka i beretu o oryginalnym kształcie w duże zęby.



Szal i berecik przybrany czarnym astrachanem efektowne dla złotej blondynki.

W kole: Sportowy berecik z szalem dla młodej panienki, utrzymany w kolorach brązowym i różowym.

Moda minjaturowego kapelusza na zimę dyktowana jest nietylko kaprysem — choć jemu przedewszystkiem zmiany mody się przypisuje. Względy praktyczności i wygody decydująco nieraz wpływają na rozpowszechnienie się danych modeli. Tak też jest z małym kapeluszem.

Czy może być coś bardziej wygodnego przy dużym kołnierzu futra lub płaszcza jak malutki beret, toczek lub turbanik, kryjący się wraz z głową w puszyste futro dużego kołnierza, okalającego tak wdzięcznie główkę kobiecą?...

Gdy względy wygody zwyciężyły i mały kapelusik ostał się zwycięsko, przyszedł dopiero do głosu chochlik kaprysu i począł przedziwną zabawę z tem cackiem, które ma służyć nietylko ochronie głowy przed chłodem, ale i jej ozdobie.

A więc przedewszystkiem wymiary ostały się możliwie najmniejsze, prawie minjaturowe. O kształcie zaś kapelusza począł decydować sposób jego noszenia coraz bardziej figlarny, coraz bardziej zesuwający go na połowę głowy, przy odsłonięciu pięknie ondulowanych loków kasztanowatych, złocistych, czy też barwy kruczego skrzydła.

W dużej mierze zależy też model kapelusza od materjału, z którego jest wykonany. Wybór w tym kierunku jest duży. Od cienkiego filcu począwszy, nosi się berety prócz tego z sukna lub wełny odpowiedniej do materjału płaszcza, dalej także z włóczki i te dla młodych panienek są szczególnie twarzowe i miłe, zwłaszcza, gdy stanowią całość z szalem i są utrzymane w żywych kolorach.

Do płaszczy strojniejszych lub do futer noszone są chętnie berety futrzane, a pomysłowość modniarek stwarza bardzo efektowne modele w tym zakresie. Berecik futrzany albo harmonizuje z futrem płaszcza lub żakiecika, albo wykonany jest z innego gatunku, bo nie każde futro nadaje się do tych celów. Tylko futra miękkie o krótkim włosie dadzą się ładnie ułożyć i przylegają do główki, nie powiększając jej, zachowując pożądany jej kształt.

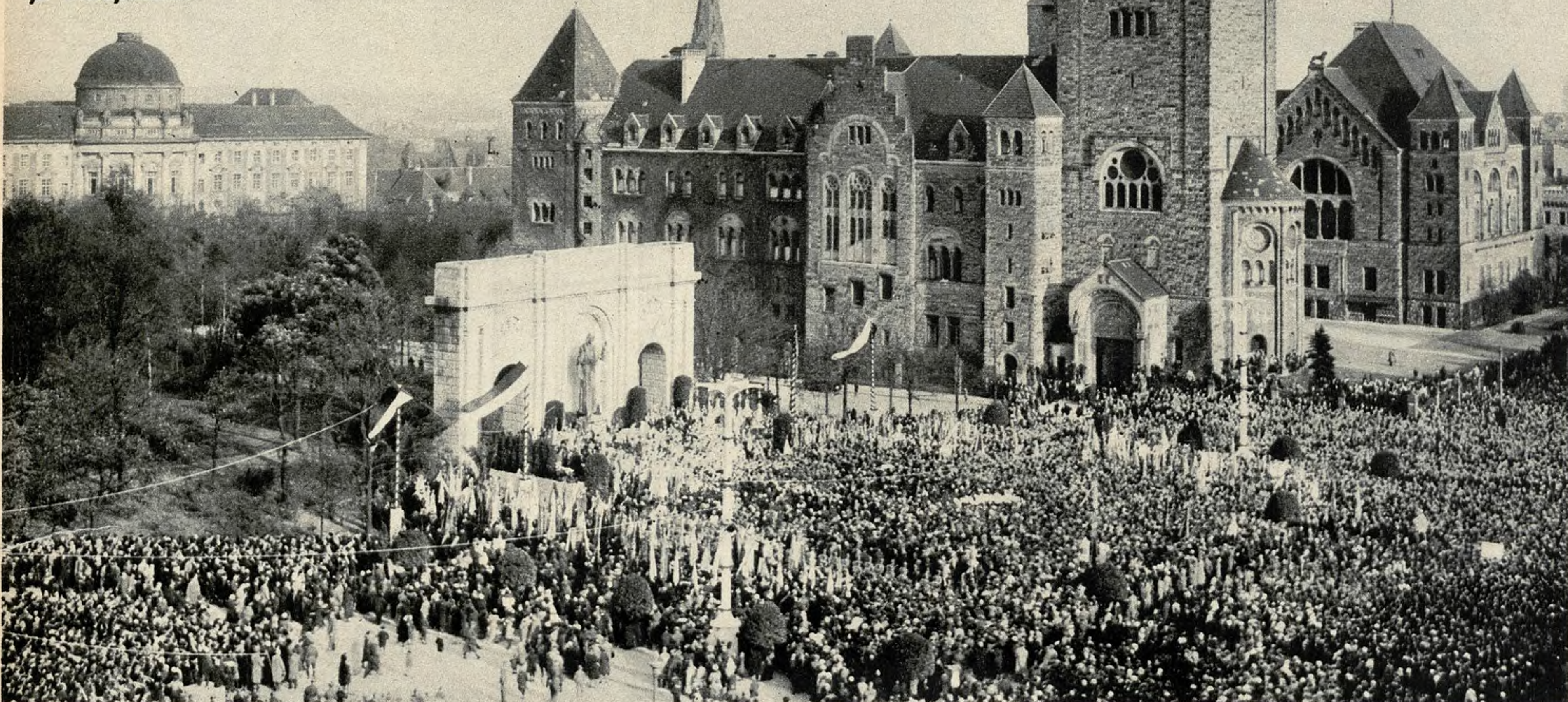
Do tualet strojniejszych ubierze pani tej zimy kapelusik z rajerów lub pailletowy, ale o tych pomówimy innym razem.

W. W.



Odsłonięcia pomnika Chrystusa-Króla dokonał J. E. ks. Kardynał Prymas Hlond (w pośrodku, z pastorałem w ręku). Obok ks. Prymasa (po lewej) ambasador Rzeczypospolitej w Paryżu p. Chłapowski.

WIELKIE UROCZYSTOŚCI W POZNANIU.

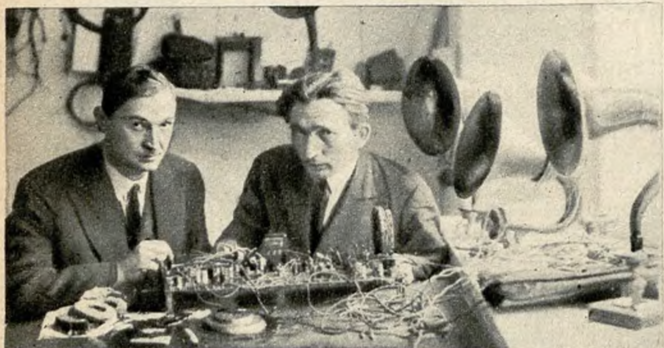


Nowowzniesiony pomnik Chrystusa Króla w Poznaniu. W uroczystościach odsłonięcia tego pomnika, które odbyło się dnia 30-go ub. m. brały udział tłumy publiczności.

W ub. niedzielę w Poznaniu odbyło się poświęcenie pomnika Chrystusa Króla, wzniesionego na miejscu, gdzie przed wojną stał posąg Bismarcka. Pomnik zdobi postać Chrystusa-Króla, dłuta prof. Marcina Rożka, całość zaś została zaprojektowana przez inż. Lucjana Michałowskiego. Budowa tego pomnika została postanowiona dnia 28 października 1920 roku w obecności papieża Piusa XI, ówczesnego nuncjusza apostolskiego w Polsce, jako votum za odparcie bolszewików. Aktu poświęcenia dokonał J. E. ks. Kardynał Prymas Hlond.

Idea ustanowienia święta Chrystusa-Króla sięga 1870 r., zaś w r. 1925 papież Pius XI ogłasza uroczyste Święto Chrystusa-Króla, encykliką „Quas Primas“, wyznaczając ostatnią niedzielę października, jako dzień tego święta.

CZYŻBY PRZEWRÓT W RADJOFONJI?



Inż. Skotnicki i J. Hein (na zdjęciu) dokonali sensacyjnego wynalazku, który może spowodować zupełny przewrót w radjofonji. Udało im się bowiem skonstruować aparat detektorowy, pozwalający na odbieranie audycyj radjowych na głośnik. Wynalazcy zgłosili już nowy swój aparat do Urzędu Patentowego. Na czem polega jego konstrukcja dotąd nie wiadomo, gdyby jednak okazał się praktycznym, jeden z najtrudniejszych problemów radjofonji; zostałby rozwiązany.

KANADA — ELDORADO RYBACKIE.



Łososie, złowione na wędkę, na jeziorze Ontario w Kanadzie.



Piętnastofuntowe łososie, które dźwigają ci dwaj młodzi Indjanie, nie uchodzą w Kanadzie za zdobycz godną zazdrości. Prawdziwy łosoś zaczyna się tam bowiem od 20 kg.

Anglikom nie wystarczają wspaniałe rewiry łososiowe i pstrągowe w Szkocji, Irlandji i Walji i dlatego w poszukiwaniu dobrych łowisk przebiegają z wędkami nieomal cały świat, a przedewszystkiem te kraje egzotyczne, gdzie kultura i cywilizacja nie spaczyła jeszcze krajobrazu i nie ujęła wartkich rzek w uregulowane brzegi.

Rzeki angielskie obfitują wprawdzie w ryby, ale łowca zmuszony jest tam stosować się do drakońskich wprost przepisów klubowych, które regulują każdy jego krok, określają miarę ryby itd. Są np. rewiry, na których minimalna miara dla pstrągów wynosi 40 cm (!) Na innych znowu nie wolno pod żadnym warunkiem wchodzić do wody, ale trzeba łowić z brzegu, jeszcze na innych dozwolone jest posługiwanie się tylko suchą muchą a łowienie na muchę tonącą, jest uważane tam za kłusownictwo.

Przepisy te wszystkie, jakkolwiek bardzo potrzebne i niezbędne tam, gdzie chodzi o racjonalną ochronę ryby i interesu poszczególnego rybaka, krępują jednak za bardzo ludzi, a w pewnych warunkach stają się wprost nieznośne. Nic więc dziwnego, że rybacy tęsknią do rewirów dzikich, gdzie obcuje się tylko z naturą zdala od świata. Dlatego, kogo stać na to, ten jedzie do Szwecji, Norwegji, albo do Finlandji, gdzie może sobie robić, co chce, oczywiście w ramach ogólnych postanowień ustawy rybackiej.

Jeszcze bogatsi udają się do Nowej Zelandji, do Afryki południowej, a przedewszystkiem do Ameryki. Szczególnie w Kanadzie i na Alasce jest takie bogactwo ryb, o jakiem my tu w krajach europejskich nie mamy formalnie pojęcia. Przybysz znajduje tam w najdzikszych odludziach najbardziej nowoczesne hotele, zbudowane specjalnie dla rybaków. Kto ma własne auto, ten w porze letniej odbywa włóczęgę wzdłuż rzek i jezior, rozbijając codziennie gdzie indziej obóz. Trudno opisać urok takiej podróży. Żyje się wtedy dosłownie na łonie natury, śpiąc w namiotach, albo pod gołem niebem i przepędza czas bądź na łowieniu ryb, bądź też na polowaniu. Im dalej na Północ, tem okolice stają się bardziej odludne i posępne. W Nowej Funlandji, na Labradorze i na Alasce jedynynymi towarzyszami rybaków stają się już traperzy i Indjanie. Rybak widzi tu na rzekach maszyny, które automatycznie łowią łososie dla fabryk konserw. Maszyna taka wygląda, jak czerpak do nabierania piasku i za każdym swym obrotem zagłębiając się w wodę, wyrzuca pełne wiadro ryb, które spadają do basenu. Stamtąd ryby te wędrują do hali, gdzie są zabijane, patroszone a potem marynowane. W ciągu kilku godzin łosoś tam zamienia się w konserwę, która potem szuka zbytu po całym świecie. Indjanie suszą mięso łososi i karmią niemi psy.

I miłoby tam było wędkarzowi, gdyby nie jedno ale; a mianowicie począwszy od wiosny, aż do zimy, pojawiają się tam takie masy moskitów, że formalnie zjadają ludzi. Ale czegóż nie robi się dla sportu. Rybacy znoszą więc te ukąszenia, narażają się na malarję, aby zaznać wrażeń. A to jest przecież istotą każdego sportu.

Kum.

Rebus.

ul M. Sławnicki, rys. J. Stratilato, czł. Warsz. Klubu Szar.



Szarada listopadowa.

Uł. L. Ciesielski czł. Warsz. Kl. Szar.

Mglisto, pełno **drugich** na bezkresnem niebie,
Które przez wichurę gnane, w strzępy zdarte...
Smętna jesień wokół czar natury grzebie,
Drzewa, jak szkielety z szat listnych odarte...
Tvsknota nas **siódme** = **piąte** wciąż do słońca...
Jeszcze pachną drzewa nam **pięć-raz-dziewiąte!**
Choć jesieni szarej niema jeszcze końca,
My pragniemy, by już był wiosenki początek...
Czwarte są ponure, smutne, **drugie-trzecie**,
Krople dżdżu po szybach jako łzy na twarzy
Spływają perliste... Jesienne zamiecie
Niszczą wszystko, co im **raz** drodze się zdarzy!...
W życia szarej **ósmej-piątej** nas piekącej
Też są zawieruchy i jesienne burze...
Takich **czwartych**, wiele... nie **sześć** – lecz tysiące!...
Rzadko kiedy błyśnie jaśniej słońce w górze...
Gdzie **sześć-siódma** ludzka stąpnie — pustka wszędzie...
Raz, polach wiatr hula, rwąc z nich liść ostatni,
Który w dal gdzieś leci z wichrem w szybkim pędzie
I ginie, — jak wszystko ginie w życia matni...

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 12. listopada 1932 wraz z załączonym kuponem.

OŚWIADCZYNY.



— Czy pani mogłaby wyjść zamąż za człowieka o ograniczonej inteligencji, ale bogatego?
— Aha, to pan mi się oświadcza...
— Ależ proszę pani, ja nie mam pieniędzy.

Rozwiązanie z Nr. 42

Pa-no-ra-ma je-sie-ni.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 42 nadesłali:

Bezrobotna z Torunia; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; St. Maltze, Warszawa; M. Rudowa, Bielsko; A. Godawa, Kraków; Październik; Manfred; I. Wajsfeld, Pińczów; H. Łazarczyk, Ostrowiec Kielecki; B. Morawski, Katowice; Kazimierz Wojdyłło, Przemyśl; T. Kretkowski, Warszawa; Maryla z Torunia; F. Langerówna, Nowy Targ; A. Moler, Czechowice; St. Sulikowski, Wieluń; B. Staszewska, Radogoszcz; T. Fedejko, Przemyśl; St. Ruebenbauer, Lwów; J. Ruta, Wieluń; Zdzisława Bendl, Lwów; Kaz. Cendyński, Nowa Wieś; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; M. Lampkówna, Kraków; L. Brachowska, Kraków; Maciej Daniel, Warszawa; S. Jastrzębiec Jankowski, Poznań; Ant. Witkowski, Poznań; Zdz. Fischbach, Września; J. Chłosta, Chełmno; J. Robak, Kraków; R. Śreniawa, Gdynia; J. Dobrowolska, Toruń; D. Bielecka, Kiekrz; J. Szarfenberg, Kalisz; J. Krosnowski, Warszawa; L. Gniździński, Warszawa; L. Siniłło, Góra Kalwarja; Wł. Pochmarski, Lwów; Kaz. Majde, Warszawa; J. Książczakowa, Warszawa; Konst. Haluch, Lwów; Wład. Dworniczek, Zebrzydowice; M. Konarzewski, Lwów; N. Sobolewska, Lublin; „Joteł"; D. Herbstmannówna, Warszawa; Z. Pelczarówna, Stryj; **Tadeusz Cieszewski, Wilno (zł. 30.—)**; „Wum", Stryj; Kaz. Iżyczek, Tarnów; St. Chciukówna, Mysłowice; M. Łakota, Kraków; Eug. Dziewoński, Kraków; M. Federak, Kraków; M. Fischer, Lwów; Z. Grzesiewiczówna, Kraków; M. Jammer, Jasło; kpt. Z. Fonferko, Przemyśl; Tad. Abratowski, Glinik Marjampolski; Edw. Skwirut, Tarnów; Cz. Jurewicz, Wilno: Roma Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; M. Niekraszówna, Wilno; Nina Brandtowa, Konin; M. Taras, Stryj; J. Bielesz, Kraków; J. Goraczko, Kraków: M. Lampertówna, Nancy; R. Dergiman, Wilno; M. Fr. Jarocka, Warszawa; „Allach", Sosnowiec; H. Schmidtówna, Warszawa; Liluś Sianek-Sanok; Gabrjel Dusza, Tarnów; W. Pędzimaż, Zakopane; Wł. Kasprzykowski, Włodzimierz Woł.; K. Wilczyńska, Warszawa; mr. Tad. Hubert, Żabno; W. Siuta, Kołomyja; H. Krippendorf, Zakopane; L. Korga, Lublin; M. Altenberger, Łódź; Stan. Dudzis, Skarżysko; L. Gawlikowska, Gdynia; J. Gawryś, Kraków; J. Kowalczykówna, Łódź; W. Dadejowa, Warszawa; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; Ambr. Sawicki, Ostróg; „Wilnianin", Dubno; Wł. Stańczak, Kościerzyna; L. Domański, Kowal; J. Bitny-Szlachta, Gdynia; A. Szmytowa, Poznań; J. Tyblewska, Poznań; Alb. Demelówna, Pomorze; K. Puchowicz, Warszawa; **Kosienka Kroppówna, Ozorków (zł. 20.—)**; W. Bereźnicka, Warszawa; J. Czerwiński, Kowel; J. Kordasówna, Kraków; A. Papee, Katowice; T. Zacherowa, Jaworzno; M. Pułkowa, Żywiec; St. Kornaszewski, Inowrocław; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; H. Smoczkiewicz, Kraków; Fr. Świerczek, Kraków; Fr. Ruszkowski, Chełmża; J. Kolczak, Troyes; J. Kawecki, Jaworzno; St. Biesiada, Ozorków; Bron. Schreck, Lwów; Janusz Roman, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; A. Sipowiczówna, Łuniniec; Muszka Propperówna, Sanok; A. Łazarska, Włocławek; Z. Kulikowska, Białystok; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; J. Radoniewicz, Stanisławów; M. Wysocka, Tarnów; Władysł. Gajowa, Poznań; J. Grotowska, Warszawa; A. Relidzińka, Radom; H. Opielińska, Środa; H. Buczkówna, Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; M. Waksmundzka, Jasło; dr. mjr. Wagiel, Warszawa; H. Zadarnowski, Dubno; L. Trepińska, Katowice; H. Chmielewska, Starogard; M. Rogalska, Kraków; H. Lubowiecka, Kraków; I. Frezerowa, Ossówiec; „Abiturjent", Lwów; M. Strubel, Warszawa; Cz. Matusiak, Kutno; Cz. Kaszubska, Sieradz; S. Jankowska, Łódź; Stacha z Piotrkowszczyzny; J. Kajzar, Praha II; Wład. Nehring, Częstochowa, G. Wadler, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; W. Czernikowa, Chełmno; **St. Rakowski, Poznań (zł. 10.—)**; Z. Milewska, Boguszyce; Fr. Gliwa, Poznań; A. Hauschildowa, Nowy Targ; L. Krukowski, Klęka; H. Mączyńska, Poznań; J. Maćkowiak, Krzywiń; M. Szulc, Włocławek; W. Czyżewski, Brześć; I. Antonowiczowa, Równe; St. Effert, Poznań; G. Bartoszewska, Poznań; J. Rogowski, Warszawa; Z. Żukowa, Jędrzejów; H. Płużkówna, Bielsko; J. Siutówna, Kraków; Grenicheux, Warszawa; Tom. Krajewska, Włodzimierz; S. Jabłoński, Prokocim; S. Helenka, Prokocim; Stenia, Łask; J. Świerczyńska, Lwów; T. Hebdowski, Ostrów; Ludwik Iwanowski, Kutno; Jawna Kowalska, Warszawa; J. Rosiński, Warszawa; St. Otowski, Koniuszki; W. Krężelewska, Kraków; Kat. Struszkiewiczówna, Kraków; Ir. Gertych, Poznań; A. Rotter, Kraków; Eug. Broniewski, Ostrowiec; R. Lenartowicz, Łuck; G. Szutowiczówna, Nowa Wilejka; „Wiślanka", Warszawa; C. Tymowska, Bydgoszcz; J. Krasucka, Skarżysko-Kamienna; Jan Krupa, Kraków; Aleks. Kosowicz, Kraków; J. St. Suliński, Kowel; A. Bąkowski, Kraków; J. Drabikówna, Warszawa; E. Pasierb, Tarnów; Jawnuta, Słonim; J. Englert, Lwów; Sz. Rybczyk, Rzeszów; W. Tyblewski, Poznań; M. Moszyńska, Lwów; St. Zapart, Kielce; Edw. Marciniak, Poznań; „Gon"; J. Mincówna. Poznań.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Tadeusza Cieszewskiego, Wilno (zł. 30.—), Kosienkę Kroppówną, Ozorków (zł. 20.—) i St. Rakowskiego, Poznań (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

CZYTAJCIE „WRÓBLE NA DACHU"

CO ZA NIEDYSKRECJA.



— Wiesz co nauczycielka mówiła, że i moja matka, jak tutaj chodziła do szkoły, miała okropną ortografję.
— Co za niedyskrecja! Dobrze, że o tem wiem. Jak dorosnę i będę miała dzieci, nigdy ich do tej szkoły nie poślę.

DLATEGO TAKI NIEPODOBNY.



— Widzi pan, to jest portret bankiera Majera, który przed dwoma tygodniami uciekł z całą kasą. Policja reprodukcję tego portretu załączyła do listu gończego za nim, bo niema żadnej fotografji bankiera.
— Aha, to on był taki ostrożny, że prosił pana, żeby na portrecie nie był podobny do siebie.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

S. O. S.



Okręt „Encounter", który w ubiegłym miesiącu zatonął u wybrzeży australijskich w ciągu czterech godzin. Sport & General — London.

W ubiegłych dwuch miesiącach szereg statków uległ rozbiciu i zatonął bądź na pełnem morzu, bądź też u wybrzeży. Dość przypomnieć katastrofę niemieckiego okrętu szkolnego „Niobe" i „Niemna", a także statku „Encounter", który poszedł na dno w pobliżu Sydney. Katastrofy te zwróciły uwagę szerszej publiczności na sposoby, przy pomocy których ratuje się dzisiaj tonące okręty. Przedewszystkiem na każdym większym statku znajduje się stacja radjowa nadawczo-odbiorcza. W razie niebezpieczeństwa stacja ta nadaje sygnały S. O. S., co znaczy: „ratujcie nasze dusze". Okręty znajdujące się w pobliżu, przyjąwszy taką depeszę, oczywiście natychmiast spieszą z pomocą.

Najczęstszą przyczyną katastrof okrętowych, jest najechanie na góry lodowe („Titanic"), eksplozja materjałów wybuchowych, pożar i burza. Naturalnie wielkie olbrzymy transoceaniczne drwią sobie z huraganów, ale dla mniejszych statków, a zwłaszcza dla żaglowców szalejący cyklon przedstawia zawsze jeszcze poważne niebezpieczeństwo. W czasie mgły zdarzają się także wypadki zatonięcia, wskutek zderzenia się dwóch okrętów (n. p. „Niemen"). Brzmi to jak paradoks, a jednak bardzo często łatwiej uratować się załodze na pełnem morzu, aniżeli tuż przy lądzie. W czasie burzy, dostęp bowiem do statku jest ogromnie utrudniony, okręt zaś w każdej chwili może być rzucony o skały i rozbity na drobne kawałki. Dlatego wszystkie kraje nadmorskie zorganizowały już od dawna u siebie specjalne pogotowia, które dniem i nocą czuwają nad okrętami, krążącemi u wybrzeży. Ratownicy ci rekrutują się z ludzi odważnych, silnych i zdrowych i przechodzą odpowiednie wyszkolenie. Do dyspozycji mają oni specjalne aparaty, służące do wystrzelenia liny, która w ten sposób zostaje przerzucona z brzegu do tonącego okrętu. Po linie tej przedostają się członkowie pogotowia na miejsce katastrofy i w ten sposób ratują wzywających pomocy. Prawo morskie przewiduje najwyższą nagrodę dla tego ratownika, któremu pierwszemu uda się zarzucić linę na uwięziony na mieliźnie, względnie tonący okręt. Nagroda ta może być czasem bardzo pokaźna, gdyż zależy ona od wartości towaru i statku i obliczana jest w procencie od tych obu wartości.

Na naszem wybrzeżu jeszcze przed kilku laty osiadanie statków trafiało się bardzo często, gdyż mielizny nie były dokładnie oznaczone znakami ostrzegawczemi (boje świecące i samoryczące) i wtedy przychodziło często do nadużyć ze strony rybaków niemieckich, którzy zawiadamiali o katastrofie nie Gdynię, lecz Gdańsk, aby zarobić prowizję od towarzystw niemieckich. Dzisiaj fakty te należą już do przeszłości, a wypadki osiadania na mieliźnie w pobliżu polskich wybrzeży, nie zdarzają się zupełnie.



Ratownik angielski z pogotowia nadbrzeżnego. Nosi on hełm koszykowy, zabezpieczający głowę od uderzeń. Keystone — Berlin.



Aparatura, przy pomocy której zarzuca się linę ratowniczą z wybrzeża na tonący statek. Keystone — Berlin.

OD ROBACZKA ŚWIĘTOJAŃSKIEGO DO AKUMULATORÓW SŁONECZNYCH.



Zalana światłem elektrycznem i neonowem ulica Royal w Paryżu.

Historja wytwarzania światła sztucznego jest zarazem historją kultury.

Nie wiemy dokładnie, czy ludzie zaczęli od sztucznego światła w formie palącego się łuczywa, czy też używali do tego celu świecących muszek świętojańskich. Badania najnowsze w tej dziedzinie wykazują bowiem, że ludzie dość wcześnie posługiwali się latarniami, których źródłem światła były świecące owady. U niektórych dzikich ludów jeszcze dzisiaj jest to w zwyczaju.

Od świecącego łuczywa szedł rozwój po linji zastosowania skoncentrowanych paliw, jak np. olejów roślinnych i zwierzęcych. Wcześnie nauczono się korzystać z wosku pszczelnego i wosków roślinnych. Nie wiemy, kto pierwszy zastosował knot do lampki oliwnej a był to pomysł niepospolity. Albowiem przez całe długie średniowiecze aż do końca XIX wieku lampki oliwne były niemal jedynem źródłem światła. Nie było to źródło przyjemne, lampki kopciły, co było utrapieniem zwłaszcza dla ludzi pracujących umysłowo. Nic dziwnego, że dla takiego genjusza jak Goethe, nie istniał pożyteczniejszy wynalazek, jak świeca niekopcąca, której knotu nie trzeba było co chwila obcinać.

Zastosowanie produktów destylacji węgla kamiennego w postaci gazu, t. zw. świetlnego uczyniło przewrót w stosunkach oświetleniowych ludzkości. Ludzkość zyskała znakomite źródło światła. Po raz pierwszy oświetlone ulice światłem sztucznem. To światło stało się dostępnem nawet dla średnio zamożnych. Ale przez długie lata jeszcze najuboższe warstwy skazane były na korzystanie z dawnych kaganków i lampek oliwnych i pogrążone były w ciemnocie, zarówno w materjalnej, jak i duchowej. Dla tych ludzi stał się Prometeuszem nasz Łukasiewicz. Przez niego wynaleziony sposób rafinowania ropy skalnej, oraz wynaleziona przez niego lampa naftowa, dały dopiero najszerszym warstwom miast i wsi tanie i wygodne źródło światła. Do dziś dnia lampa naftowa jest wiernym przyjacielem warstw ubogich.

Ale o ile dawniej przechodziły wieki całe bez zmian w technice oświetlenia, to począwszy od połowy XIX wieku jesteśmy świadkami niesłychanego postępu na tem polu. Zwłaszcza zastosowanie elektryczności dla celów oświetlenia było decydującym krokiem i stało się podstawą ogromnie bogatej i odrębnej gałęzi techniki, t. j. techniki oświetlenia. Już lampa łukowa dawała możność stworzenia sztucznego światła o ogromnej mocy. Wynalazek żarówki elektrycznej Edisona był uwieńczeniem rozwoju na tem polu. Zczasem rola dawniejszych źródeł światła zmniejszyła się znacznie. Wprawdzie żarówka jest właściwie przedewszystkiem piecykiem i tylko mały procent oddanej jej energji przemienia na światło, ale mimo wszystko oznacza rewolucyjny krok naprzód od kopcącej lampy.

Gaz świetlny po wynalazku siatki żarowej przez Auera, przez pewien czas powstrzymywał zwycięski pochód światła elektrycznego, ale udoskonalenie żarówki przechyliło szalę zwycięstwa na stronę elektryczności.

Ludzkość jednak nie ustaje w swoim pochodzie ku coraz doskonalszemu światłu. Dzisiaj sprzykrzyła się nam już odwieczna spółka światła z ciepłem i dlatego usiłujemy wynaleźć i wprowadzić w życie zimne światło. Krąg się zamyka. Zaczęło się od zimnego światła robaczków świętojańskich a kończy przynajmniej narazie na zimnem świetle rurek szklanych, w których źródłem światła jest strumień pędzących elektronów, rozbijających lub „pobudzających" napotkane atomy gazu. Zależnie od rodzaju tego gazu, efekt takiego pobudzania jest różny. Mamy więc czerwone światło neonowe, żółtawe sodowe itd. Przez kombinację różnokolorowego światła otrzymuje się sztuczne światło dzienne.

A może się nam uda zupełne naśladowanie robaczków świętojańskich i będziemy nocą świecili światłem słonecznem, które się nauczymy magazynować, akumulować za dnia. Kto wie, i na to się zanosi.

Inż. A. A.



Wyparte ze stolic europejskich światło gazowe, rozświetla tylko mroki na przedmieściach i na prowincji.

To jest rumba!...



...tańczy ją z prawdziwym artyzmem Mariana, pełna egzotycznego uroku i niezwykłego czaru tancerka zespołu Don Aspaziu, który występował wpierw w teatrzyku „Empire“, a obecnie popisuje się w „Plantation de Colombie“ w Paryżu.

Fot. Lipnitzky — Paryż.